

Adam Szymański.

SZKICE.

Maciej Mazur.

Srul z Lubartowa.

Stolarz Kowalski.

Dwie Modlitwy.

Wydanie pośmiertne
z portretem autora.

Moskwa.

Nakładem syna.

Skład główny w księgarni Gazety Polskiej.
1916.

Cena 75 Kop.



Adam Szymański.



SZKICE.

Maciej Mazur.

Srul z Lubartowa.

Stolarz Kowalski.

Dwie Modlitwy.

in.

Wydanie pośmiertne
z portretem autora.

Moskwa.
Nakładem syna.
1916.

13

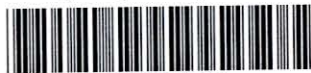
Adam Szymbanski



230256

Печатано въ Рижской Типо-Литографии.
Москва, Покровка, д. 43. Тел. 5-71-23.

BIBLIOTEKA GŁÓWNA
Uniwersytetu w Białymstoku



FUW0101013

D-159/95

Maciej Mazur.

Po wyjeździe z Jakucka zamieszkałem w X, lichej mieścinie, leżącej nad tą samą Leną, mniej tu zimną i szeroką, więcej za to dziką i posępną. Osady ludzkie, chociaż kraj ten leży o parę tysięcy wiorst bliżej od świata, są tu rzadkie, ziemia skalista i górzysta i na wszystkie strony świata na setki, na tysiące wiorst tajgą odwieczną pokryta.

Zapewne rzadko gdzie na świecie spotkać można bardziej dzikie i ponure krajobrazy, niż te, które się przedstawiają oku człowieka na ogromnej przestrzeni, zraszanej Leną, poczynając od połowy górnego jej biegu pod sam Jakuck prawie. Tajga bezbrzeżna, tajga ponura, dzika i niedostępna, zwarta jak ściana, pokrywa tu wszystko: i góry, i wąwozy, i równie i rozdoły. Gdźieniedździe tylko na czarnem tle tajgi wznosi się, jak obelisk potrząskany lub grobowiec olbrzymi, szara, obsypująca się, skała; kiedy-niekiedy zatoczy nad pustynią niezmierzoną majestatyczne swe kręgi sęp poważny, kiedy-niekiedy ryknie i zahuczy pan jedyny tej puszczy—niedźwiedź gniewliwy.

Rzadkie siedziby człowieka tułają się u podnóża skalistych wybrzeży Leny, jedynej arteryi, jedynej drogi nie tylko tego, lecz i jakuckiego kraju, a ludzie, w siedzibach tych mieszkający, w ciągłym obcowaniu z dziką przyrodą, zdziczeli sami tak dalece, że u rolników z szerokich dolin, w wierzchowiskach Leny leżących i u pasterzy ziemi jakuckiej znani są pod nazwą—wilków.

Klimat tu także surowy, a chociaż mrozy nie bywają nigdy tak wielkie i stałe jak w Jakucku, ziemia ta, jako najbliższa sąsiadka ziemi najzimniejszej wystawiona jest na wiatry niemniej zimne, owe jakuckie bo-reasze okrutne, sięgające w swych zapędach dalekiego Uralu.

Przy ujściu jednego z wielkich prawych dopływów Leny znajduje się dość wielka kotlina, wspólnem działaniem dwu potężnych rzek wyrwana i następnie zamulona. Kotłownina ta, zewsząd okolona dość wysokimi, to połogiem, to stromemi górami, przy swem ujściu na pół-

noco-wschód zamknięta jest szczególnie wysokiem i skalistem pasmem górskiem, w którem obie rzeki, rwące się w tym kierunku, przebiły i wyrły sobie łożysko. W tym to północno-zachodnim kącie kotliny na niewielkiej i niewysokiej skale, oddzielonej dziś od głównego pasma korytem Leny, a w części i u podnóża tej skały, pomiędzy obiema rzekami, leży X., stolica kraju, wilczem plemieniem ludzi nasiadłego. Wysokie pasmo górskie, formujące przeciwny brzeg Leny, tuż naprzeciw miasta, wznosi się w kształcie ogromnego, skalistego cypla, którego wierzchołek wywietrzał już i porósł lasem, strona zaś zwrócona ku miastu sterczy przed niem w odległości kilkuset sążni jak prostopadła, gładko lodami wyszlifowana ściana, zmniejszając na czwartą część i tak niewielki widnokrąg kotliny. Jakby dla zwiększenia dzikości krajobrazu, który miejscowość ta wraz z okalającemi ją górami i skałami, pokrytymi tajgą zczerniałą, przedstawia, panujące tu ciągle wichry potężne, przeważnie północne, niosąc latem wczesne przymrozki, zimą—wiejki, śnieżyce i mrozy jakuckie, wyprawiają tu codzień człowiekowi djabelską muzykę. Wichry, wpadając w kotlinę, odbite od skał i powtórzone we wnętrzach tajgi wielokrotnem echem, napełniają całą jamę takim wyciem, takim jękiem przeróżnym, że nicraz się wydaje, żeś wpadł w istic wilcze lub niedźwiedzie ostępy i legowiska.

* * *

Było to jakoś w połowie listopada, na miesiąc przeszło przed świętami Bożego Narodzenia. Wichrzysko jak zwykle wył różnemi głosy, pędząc i kręcąc w swym tańcu szalonym całe tumany suchego śniegu. Na ulicę i psa-byś nie wygnać. Ludzie-wilki pochowali się w swych domach, popijając „czaj“ gorący z „twiordymi“ i „miahkimi“ *), wilki prawdziwe wtórzyły zapewne wilczemu wyciu wichru. Czekałem z godzinę, czy nie ścichnie,—nie ścichło jednak i chociaż niechętnie, wyruszyłem z domu.

Przed kilku dniami przyrzekłem był p. Stanisławowi Świątełce, że w ciągu tygodnia przyjdę do niego któ-

*) Herbata z chlebem jęczmiennym, który zwykle na drugi dzień po upieczeniu bardzo twardnieje, nazywa się „czaj s twiordymi“, a z chlebem razowym, żytnim — „s miahkimi, s miagonkimi“.

regokolwiek dnia, aby mu napisać listy do kraju, listy, jak mówił, dość pilne; była już sobota i dłużej swego pójścia odkładać nie mogłem. P. Stanisław był kulawy i już to z powodu swego kalectwa, już to z powodu zajęcia, rzadko bardzo wychodził z domu. Pochodził on z ziemi krakowskiej, o ile sobie przypominam, z Wiślicy; szczycił się tem, że ród Świątełków należał do najstarszych mieszczańskich rodów prastarego grodu i niezmiennie, jak pamięcią sięgnąć mogli i ojce, i dziady, pilnował kunsztu szewckiego. Szewcem był tedy i pan Stanisław, szewcem w swoim rodzie ostatnim, bo chociaż ród jego na nim się nie kończył, jęgnakże, jak sam się wyrażał: „zrządzenie boże było już takie“, że przekazać synowi rzemiosła ojców nie mógł.

— Bóg go wychowywał, mój panie, i widocznie wola Jego była, aby na mnie szewce Świątełki skończyli się—mawiał pan Stanisław, a mawiał zwykle przedko, jakby groch sypał na ścianę. Czasami tylko, ale chwile te rzadko bywały, gdy mu co dodało otuchy, a obcych ludzi nie było, dodawał: „Chociaż niezbadane są wyroki Jego... a nuż?... No, wtedy już wnuk szewcem będzie!“—i bladł zwykle od wypowiedzenia myśli swej tajnej, odwracał się szybko, szukał czegoś nibyto, kręcił się i parę razy podpatrzyłem i podsłuchałem, spluwał nieznacznie i szeptał do siebie: Nie w złą-by godzinę, Panie!“—urok odpędzał od życzeń najdroższych.

Wzrostu średniego, blondyn, w połowie już osiwały, brodaty, bez zębów, z nieforemnym, szerokim nosem, wielkimi, głęboko wpadłymi oczami, dopóki siedział i milczał, trudno było odgadnąć: kto zacz? Ale niechno tylko poruszył się, pomimo nieodłącznego kija zawsze jakos gorączkowo, gwałtownie prawie, niechno tylko sypnął swym językiem jak kołowrotem kilkanaście słów wartkich, to chyba tylko kto nigdy nie widział starego, czysto polskiego mieszczaństwa, nie poznałby w nim nieodrodnego tego mieszczaństwa syna. Pan Stanisław rzemiosło swe uprawiał w X. niedługo; uciuławszy trochę grosza na majsterce, założył sklepik malutki, ale słynął w miasteczku jako jedyny fabrykant dobrych kielbas polskich. Mieszkanie miał przy sklepie, z jednego pokoiku i maluczkiej kuchenki złożone. Służącej nie trzymał: gotował mu jeść, służył do towarzystwa, usługi i do obrony

skutecznej wielki chłop, Maciejem zwany, którego jednak dotąd bliżej nie poznałem.

Bywałem u Świątelki nie często, przychodziłem zwykle w dzień, gdy mi co kupić potrzeba było, gawędziłszy w sklepie, tak, że Macieja widywałem przelotnie i zwróciłem tylko nań uwagę, jako na coś niezwykle wielkiego. Rzeczywiście, chłopisko to był ogromny i, co rzadko się zdarza, nietylko wzrostem, ale i objętością jednakowo obdarzony. Objętość ta, proporcjonalna do wielkiego wzrostu, nadawał, acałej figurze te właśnie cechy, które sprawiały, że Maciej wydawał się nie wielkim, ale imponował swemi rozmiarami.

W mieszkaniu, obliczonym na ludzi zwykłych, ciasno mu było; meble i sprzęty rozstawione z zastosowaniem się objętości przeciętnego człowieka, krępowały ruchy Macieja. Dwóch kroków nie mógł on zrobić w mieszkaniu, aby nie zaczepić, nie potrącić o sprzęt jakowy; idąc, stąpał ostrożnie, powolutku, ozierając się ustawicznie, i miał zawsze zawstydzoną minę człowieka, czującego się nie na miejscu i przekonanego, że najusilniejsze starania nie ustrzegą go od popełnienia niedoręczności. Parę razy widziałem Macieja, gdy w czasie nieobecności Świątelki zastępował go w sklepie dość ciasno zastawionym: na szerokiej twarzy jego malowało się wtedy cierpienie prawie, szczególnie widoczne, gdy dochodząc do przejścia, pomiędzy półkami i kontuarem ciągnącego się, zatrzymywał się trochę i wzrokiem niespokojnie mierzył wielkość niebezpieczeństwa. Niebezpieczeństwo, rzeczywiście, istniało, bo półki zastawione były szkłem i naczyniem wszelakiem i jedno potrącenie mogło narobić szkody niemało. Była to dla niego prawdziwa Scylla i Charybda; wyglądał on tu zawsze arcykomicznie, a męczył się tak, że po kilku minutach takowego stania pot kroplisty zraszał mu czoło. Zastałem go raz, gdy stał tam jak na torturach, oczekując czyjegokolwiek przyjścia. Zdało się mu bowiem, gdy wychodził z owego przejścia po załatwieniu kupującego, że zaczepił za coś z tyłu, a bojąc się poruszyć i nie mogąc się upewnić, za co mianowicie, stał i czekał, dopóki kto nie nadejdzie.

— Chwałać Bogu, że pon przyszedł, zawołał ucieszony, dyć stoję tu, jak żyd na weselu, a on posed i ani myśli wracać! A że tyż, Chryste Ponie, ciasno tu u niego, zace-

piułem za cajneczek jakowys i nijok ruszyć się nie mogę, bo strzez Boze, polecem do ciorta wsyćkie te połecki. A gdym go uwolnił, biadał dalej:—I to ciągiem tak, skaranie boze z tom ciasnotom, ale co to jemu? Som ot—tyćki, to chocią i z kijem zawdy, a jak frygo tu lata.

„On“, rozumie się, był to szewc, z którym ścinał się o byle głupstwo, zawsze jednak dość spokojnie i chłodno. Nerwowego i ruchliwego szewca drażniła ociężałość i niezgrabność Macieja i nawzajem Maciej nie mógł zrozumieć szewckiej prędkości. Ale nie to jedno tylko było przyczyną antagonizmu: szewc był mieszczaninem, człowiekiem do pewnego stopnia kastowym prawie, z głębokiem przeświadczeniem o swej stanowej wyższości, chodził w surducie i miał potrzeby, które Maciej uważał za zupełnie zbyteczne, pańskie poprostu. W dodatku zaś szewc był gospodarzem, chlebowawcą Macieja.

Bez względu jednak na to wszystko, antagonizm, ujawniający się w ich wzajemnych stosunkach, nie sięgał głębiej, był właściwie dość powierzchowny i miałki. Szewc zrządził na Macieja i podkpiwał sobie nad nim czasami, ale robił to zawsze po koleżeńsku, z zachowaniem należącego poważnemu włościaninowi respektu, t. j. używając zawsze względem niego formy wy, a nie ty. Maciej zrządzenie szewckie zwykle przyjmował w milczeniu, na docinki jednak odpowiadał i odpowiadał czasami dość koląco. Na tak znośne ustosunkowanie się dwu stanów w jednej izdebce, odróżcz wspólnej doli i obecnej równości przed prawem, wpływały i inne przyczyny dość poważnej natury.

Szewc w porównaniu z Maciejem posiadał inteligencję, o jakiej ten nawet i marzyć nie mógł. Szewc umiał czytać i, co dodawało mu w oczach Macieja szczególnego uroku i powagi niemałej, umiał chociaż powoli i z zachodem zawsze dość znacznym nakreślić ośmnaście liter, składających jego imię i nazwisko. Ze strony Macieja znówu, oprócz mocy fizycznej, tej siły brutalnej, co to gnie i niekulawych ludzi, stał fakt, że służył on nie tyle z potrzeby, ile z pobudek koleżeńskich, gdyż miał własny kapitałik, kilkaset rubli wynoszący, u szewca obecnie złożony i, co najważniejsza, był człowiekiem sumiennym i uczciwym. Gdym, nie wiedząc jeszcze o tem, w rozmowie swej z szewcem zapytał go jakoś, czy ufa

zupełnie Maciejowi, mieszkając z nim sam jeden i zostawiając go nieraz w sklepie, szewc powtórzył me pytanie z takim zdziwieniem, że odrazu zrozumiałem zupełną jego nie stosowność, powtórzył i, wymawiając już każde słowo nieprędko, jak zwykle, ale powoli i dobitnie, dał mi taką odpowiedź: — Maciej, panie, człowiek — złoty.

* * *

Natychmiast po mojem przyjsciu zamknięto sklep i weszliśmy do mieszkania. W pokoiku pod jedynem oknem stał stolik niewielki z dwoma krzeselkami po bokach za jednym z nich wzdłuż ściany bocznej mieściło się łóżko, za drugim obok przeciwnej ściany — mała drewniana kanapka. W czwartej ścianie naprzeciw stolika dość wąski otwór wiodł do kuchni, mieszkania Macieja. Zasiadliśmy do narady, co i jak pisać należy. Nie tylko szewc, ale i Maciej nawet był w nastroju wysoce poważnym, widocznie obaj do pisania listów przywiązywali wagę niemałą. Szewc dostał z kuferka sporą paczkę, zawiniętą w arkusz papieru i wyjąwszy z niej ostatnie listy od żony i syna, podał mi je ostrożnie. Maciej wcisnął się do kuchenki i nie wrócił już do nas, ale po chwili głowa jego, ale tylko głowa z wielką czerwoną twarzą ukazała się jak księżyc na czarnem tle otworu.

— Coż to Macieju tak daleko uciekacie? zapytałem.

— Ee! kiedy to, widzi pan, na ty słabiźnie siedzieć nijako, a tu se sporządziłem ławeczkę trocha mocniejszą.

Szewc mruknął coś o łamaniu jakichś krzesłek, ale Maciej zakrzętał się około fajki, jakoby zagasłej i nie słyszał, czy udał, że nie słyszy mruknięcia.

Zacząłem czytać listy. List od żony był zwykłym opowiadaniem o troskach codziennych, przeplecionym życzeniami powrotu, nadzieją zobaczenia się jeszcze. List od syna, już od pół roku wyzwolonego czeladnika stolarskiego, był dość lekkomyślny: zawiadamiając ojca o swych wyzwolinach, syn pisze, że robota bywa nie zawsze wskutek czego, nie mogąc sam zebrać sobie pieniędzy, potrzebnych mu na kupno zegarka, prosi go o przysłanie mu kilkunastu rubli w tym celu. Przeczytałem i spojrzałem na szewca, który wpłł się we mnie oczami, śledząc wrażenia treści listów wywołanego. Starałem się wyglądać

najobojętniej. Czy i w jakiej mierze to mi się udało, nie wiem, bom nie patrzył już nań wcale, tylko po chwili przekonałem się, że usiłowania moje próżne były, usłyszałem bowiem trwożliwe pytanie: — No i cóż panie? Okazało się, że szewc listem syna był bardzo zgryziony, bardziej nawet niż przypuszczałem.

Ja tu staram się, zabiegam jak mogę, żeby na wypadek i wrócić o czem było i ręki na starość nie wyciągać, a ten błazen!...

Zaczęliśmy mu oba przekładać, że brać to do serca zbytnio niema co, że chłopak może być najlepszy i jest takim zapewne, tylko może rozpieszczony trochę, szczególnie jeżeli był jeden u matki.

— A jakże nie jeden, kiedy i tego nie widziałem nigdy.

— Jakto nigdy?

— A tak właśnie ze nigdy, bo, jak dziś pamiętam, w piątek przed wieczorem coś tam dłużałem na podwórzu koło domu, gdy sąsiad Kwiatkowski krzyknął mi z za parkanu: — Bój się Boga, p. Stanisławie, po ciebie idą! A to tylko zdążyłem dopaść do okna i zawołałem: Bądź zdrowa Basiu, a pamiętaj, niechże i jemu św. Stanisław będzie patronem! Tylko te słowa wymówiłem; Basia akurat była w ósmym miesiącu, ale już jej więcej nie widziałem; dobrze się więc zrobiło, że powiedziałem, zawsze jest pamiątka po mnie.

— Chwalić Boga, że je, ale gdyby tak nie syn był...

Nie skończył jednak Maciej, gdy szewc zgorszony karcieć go zaczął surowo.

— Głupstwa plecicie Macieju, choć nie dzisiejsi jesteście! A czy to kościół nie nadaje imienia świętej Stanisławy? A czy nakoniec, choć grzeszny jestem, jak każdy człowiek, nie mogę przypuścić, że słowo wymówione w taką minutę nie znaczyło coś przed majestatem? Czy to nie w ręku Boga wszystko?...

Maciej spuścił oczy i tylko westchnienie głębokie świadczyło o pożądanym skutku szewckiej wymowy.

Okoliczność opowiedziana przez p. Stanisława, ułatwiła nam bardzo zadanie, a gdy jeszcze przypominał on sobie, że matka na syna nigdy się nie skarżyła, przeciwnie, zawsze była zeń zadowolona, udało się uspokoić ojca, zbytnio roztrzęsionego o los edynego dziecka. Aby

ednak załatwić sprawę gruntownie, stanęło na tem, że należy napisać do kogoś z poważnych a światłych ludzi, aby wyegzaminował chłopca, jak należy i, mając go nadal na oku, zawiadomił ojca o rezultacie egzaminu. Stało na tem dla tego, że matka jako kobieta prosta, niewykształcona i być może wielce w jedynaku rozmiłowana, mogła być sędzią zbyt pobłażliwym i ślepym. Chodziło tylko o wybór osoby, co było rzeczą dość trudną: ten umarł, tamten zbogaciał, ów rozpił się ostatecznie; medytowaliśmy długo i medytowalibyśmy jeszcze dłużej, gdyby nareszcie szewc z miną człowieka przekonanego, że dobrze mówi, nie wyrzekł stanowczo:

— Napiszemy do księdza! co gdy Maciej, rad, że uciążliwa medytacja skończona, a może też, rehabilitując się z dowiedzionej mu niedawno głupoty, poparł śpiesznie:

— A no do proboszcza najlepi,— przystąpiłem i ja do większości. Pewne trudności, wynikające z tego względu, że ksiądz nie był Świątełce osobiście znanym, praktyczny szewc, poparty również przez Macieja, że „lady jaki w takim mieście proboszczem nie bandzie“, usunął w ten sposób, że, zamawiając u księdza solenną wotywę żałobną za duszę swych rodziców, na co posyłał rubli dziesięć, przy tej już jakoby sposobności polecał i syna łaskawym względem dobrodzieja.

Zacząłem pisać listy, których trzy być miało: do żony, do syna i księdza. W ciągu swego pobytu w Syberji tyle podobnych listów napisałem, że w pisaniu takowem wprawy nabrałem niemałej. Informując się więc tylko o niektórych szczegółach, pisałem prędko. Szewc przesunął się z łózka, na którym dotąd siedział, na drugie krzesło, przy stole stojące i z głową nad tym stołem pochyloną śledził uważnie za ruchem mego pióra gotów do odpowiedzi; Maciej pykał ze swej łulki w milczeniu. Skończyłem listy i przystąpiliśmy do czytania.

Żonie posyłał pan Stanisław pięćdziesiąt rubli, a ponieważ o wiernej mu Basi zachował najserdeczniejsze wspomnienie, kochał ją dziś bardziej może, niż przed 20-tu laty i nigdy nie mógł mówić o niej bez głębokiego wzruszenia, więc i list do niej odpowiadał młodym uczuciom szewca.

Słuchał on listu bledszy niż zwykle, chciał coś mówić, ale usta mu drżały i słowa więzły w gardle, i tylko

gdy skończyłem czytanie, pan Stanisław zakręcił się po swojemu i wytarłszy nos kilkakrotnie, wymówił nareszcie: „Zaraz podpiszę“. Po wynalezieniu w stoliku okularów, należytem osadzeniu takowych na nosie i wskazaniu miejsca, w którym podpis ma być umieszczony, szewc zaczął:

— *Es, te* i usta już otwierał na wymówienie trzeciej litery, gdy Maciej nieopatrzny, zachowujący się w czasie mego pisania najprzychylniej, ni ztąd ni zowąd palnął niespodziewanie:

— Azeby tyż pon...

Palnął i rozumie się, nie skończył: szewc położył pióro i wysoko podniósłszy głowę, aby przez okulary spojrzeć na Macieja, napewno żałującego już niewczesnego odezwania się, wyrzekł sucho:

— Macieju, przeskadzacie.

Maciej spąsował i naturalnie słowa już nie pisał; szewc dopisał swe nazwisko bez przeszkód, wyjął pieniądze, które, aby uniknąć na drugi dzień pomyłki, włożyłem zaraz wraz z listem w zaadresowaną kopertę.

List do syna, jakkolwiek w czasie narad pan Stanisław żądał natarcia uszów „durniowi“, był nie tyle surowy, ile wyrozumiały. Łatwo było domysleć się, czem był ów syn niewidziany jeszcze, owa jedyna nadzieja staromieszczańskiego rodu, dla Świątełki. Jeżeli kaleka szewc pracował lat tyle wytrwale i uczciwie, jeżeli zmagat dotąd dolegliwości przeróżne, jeżeli samotny i opuszczony z pokus łatwego zбоgacenia się, któremi Syberja ludzi naiwnych nowicyuszów, wyszedł zwycięzko, zawdzięczał to bezwątpienia w pewnej, mierze zasadom uczciwym z domu i kraju wyniesionym i charakterowi swemu, ale też, nie ulega wątpliwości, w niemniejszej mierze owemu synowi, w którego urodzeniu samem widział niejako rękę bożą. Jasną to było rzeczą, że marzył biedaczysko o stawieniu się przed dziecięciem ukochanem, jak marzy asceta o jawieniu się przed sądem bożym. Myśl, że będzie mu mógł powiedzieć kiedyś, powiedzieć głośno i śmiało: nie przyniosłem ci, synu, nic okrom imienia nieśkalanego wśród przeżyć najcięższych i pokus największych—była gwiazdą przewodnią jego życia. Mając to tedy na względzie, nie nacierałem „durniowi“ uszów, nie karcilem, ale z miłością pouczałem, czem są pieniądze, które ojciec rodzinie posyłał, pieniądze krwawo za-

pracowane, nieraz może sobie od ust odjęte, pouczałem, czym być winien i mógłby już obecnie chłopiec, mający silne i zdrowe barki, dlaczego żądanie pieniędzy na marną błyskotkę zakrwawiło serce ojcowskie i t. d. Pisałem obszernie i spokojnie, słowy prostymi, stosując się do pojęć młodego rzemieślnika, gorąco go w końcu błogosławiąc na nową drogę życia.

Czytanie to odbywało się już z ciągłymi przerwami, gdyż zatrzymywałem się, aby się dowiedzieć, czy wiernie tłómaczę uczucia i życzenia ojca. Że tak było, przekonałem się o tem już na początku listu i w miarę czytania w przekonaniu tem zupełnie utwierdziłem. P. Stanisław za każdym razem, gdy nań pytająco spoglądał, odpowiadał mi śpiesznie: „tak, tak, tak właśnie chciałem”. Ale im dalej czytałem, tem krótsze, tem prędsze stawały się owe „tak, tak”. W środku listu jakoś otworzył on wprawdziwie jeszcze raz usta, ale widziałem tylko, jak one poruszyły się bezdźwięcznie. Spojrzałam jeszcze raz: broda szewca leżała na stole i łzy płynęły po jego bladej twarzy. Nie kręcił się już on, jak to zwykle przedtem robił, gdy uczucie jego wzbierało, nie chrząkał, nie wycierał nosa; oparł tylko brodę o stół o kilka piędzi ode mnie, przed samą świecą i jej światłem oświetlony płakał przed nami spokojnie; nie drgał, nie łkał: łzy tylko, dawno zapewne z tych oczu zapadłych nie płynące, płynęły dziś z nich obficie. Gdy umilkł, szewc, nie podnosząc głowy i patrząc na mnie swemi wielkimi, rozumnymi oczami, dziękował mi: „Bóg zapłać, Bóg zapłać panu!” a Maciej, już i poprzednio wyrażający swe zadowolenie to oddzielnymi słowy, to jakimś mručeniem nieokreślonym, korzystając z przerwy przydłuższej, zdobył się na całą mowę:

— Ummm, pięknie! Różne listy słychiwałem, bo to i na *pryiskach* *), i mnie i drugim różni pisywali, a i tu, choćby X dobrze pise, ani słowa, ale cóż, kiej napise to mądrze jakby z książki, a słuchas i som ani krzty nie rozumies, takich słów ci natko, nie pó ludzku jakościć; zaro widać, ze to abo ze zydów, abo z panów wielgich, abo z ludziami nie zywał; a tu właśnie za serce imo, po ludzku. O! to chłopacysko, jak przecyto,

*) W kopalniach złota

to się splece napewniako, nijok baba na kazaniu. Azeby tyz pon, kiedy prosić nie śmie—i głos jego rzeczywiście brzmiał bardzo nieśmiało—moim tyz—ot takuski liścicek! oj to babsko moja rycałazby dopiro, rycała.

W czasie czytania listu do księdza, Maciej zachowywał się spokojnie, słuchał uważnie, a może i myśleć zaczął nad tem, co też ja jego babsku napiszę, czy odpowiem pokładanym we mnie nadziejom. Ale, gdy doszedł do miejsca, w którym proszę księdza o wotywę za umarłych rodziców szewca, w otworze do kuchni wiodącym zatrzeszczało coś gwałtownie i Maciej stanął przed nami w całej swej imponującej wielkości. Wyjście jego było tak niespodziane i z takim hałasem dokonane, że patrzyliśmy nań zdziwieni. Maciej był niezwykle zmieniony i wydało mi się nawet, iż drżał cały; wyszedł on w milczeniu i stanąwszy tuż przed nami, z nogami jak zawsze szeroko rozstawionymi, szukać zaczął kieszeni, ale czy to szukać było niełatwo w fałdzistych hajdawerach, czy też z innej jakowej przyczyny, znalazł ją nieprędko. Znalazłszy, wyciągnął z niej mały woreczek i po długim rozwiązywaniu, ku czemu i zębów używał, wyjął z woreczka pomięty trzyrublowy papiererek. Z papierkiem tym postął trochę i, kładąc go nareszcie trzęsącą się ręką na stół, głosem proszącym, urywanym, tak przemówił:

— A kiedy już tak, to przy tej okazji, przy tej świętej wotywie za umarłych możeć i za nos, za niescęśliwych wetschnienie zaniesie... a niechaj ze pon napise... niech tam... niech do Najwyższego... do Przenajświętszej... choćby kości zaniść... a możeć... a się zlitują...

— Może się zlitują—powtórzył jak echo i szewc, już obok Macieja stojący.

I stali przede mną obaj ci ludzie starzy, w nieszczęściach osiwiali, jak stoją dzieci małe, niemoc swą czujące, przed ojcem surowym: stał szewc kaleka, z głęboko zapadłymi oczami, na swym kiju oparty, stał i chłop ten potężny z rękami opuszczonymi, z głową kornie przechyloną, zanosząc cichym szeptem swą prośbę błagalną...

.....

I siedzielibyśmy długo zapewne w ciężkiej zadumie, gdyby szewca wśród nas nie było; p. Stanisław pierwszy ocknął się z letargu, w którym byliśmy pogrążeni.

— Cóż do licha, na nic zbabiejemy! Macieju, ruszcie-no się! Toż kielbasa tam się spali i gorzałka wywiejrzej! Ej, Macieju, a żywiej!

Maciej sunął do kuchni i choć niezbyt żywo wprawdzie, wrócił ku nam, poprzedzony zapachem dobrze podrumienionej kielbasy. Otrząsaliśmy się jednak z owego letargu tak powoli, że nawet i szewc rażny więcej miną nadrabiał. Toast na rzecz szczęśliwej minuty dla pisania dzisiejszego był tego pierwszym, a „Amin“ Maciejowe dla owego toastu, Amen, poparte westchnieniem, jak z miecha kowalskiego wyrzuconem—drugim dowodem. Wódka jednak zrobiła swoje: wzruszenie któregośmy doświadczyli, potęgowało jej działanie i po dwóch kieliszkach, tylko z listów, leżących w kuferku p. Stanisława, człowiek nie w ciemę bity mógłby się domysleć, cośmy tu czuli i myśleli przed chwilą. Ostatnie może resztki smutków rozplynęły się wraz z piosenką, którą sobie zanucił p. Stanisław:

A gdzie drzewo rąbia,

Tam wióry padają;

Wtenczas ojcom miłe dzieci,

Gdy im się chowają.

Ale i przeciw tak słabemu echu owych smutków rozweselony Maciej energicznie zaprotestował:

— Ee! dałby już pon pokój tym dzieciom, ja ta pięciu mom i nietyła się o nich troskam, co pon o idnego!

Szewc widocznie uznał wielką słuszność tej śmiałej uwagi bo zamilkł i machnąwszy tylko ręką, zaproponował mu nastawienie samowaru. Głośno i wesoło spełniał Maciej swą robotę w kuchence. O ulubionym swym posterunku, „ławecce trocha mocniejsej“, zapomniał on zupełnie i wyszedł ku nam niebawem. Głos jego z wymogami akustyki pokojowej zawsze, w najzupełniejszej niezgodzie będący, brzmiał teraz, jak może kiedyś w one lata na polach i niwach mazowieckich. A gdy mówił, to jednym krzykiem, intonacją wyrazistą nie ograniczał się wcale: mówił o robocie jakiej, to gestykulował, wymachiwał rękami; gdy wstać należało, wstawał natychmiast, siąść—siadał; zrywał się, cofał; ścisnął i rozwodził palce, ale ro-

bił to wszystko tak, jak mówił, powoli i dokładnie. Nie wy-mówił ani jednego słowa, nie opowiedział ani jednego faktu, aby opowiadania swego nie poprzeć, nie illustrować wyrazistą mimiką, ruchem, pozą, które, o ile mógł, starał się zawsze zrobić odpowiedniami rzeczywistości. Ot i teraz, gdy wskutek jego protestacyi przeciwko smutkom szewckim zapytał:

— A to aż pięciu synów macie, Macieju?

— Pięciu, jak pięć tych palców u ręki—odparł Maciej i rozwinął mi przed oczami swą pięść ogromną, rozczapierzając palce starannie. A śmiał się z byle czego, zawsze długo i serdecznie, trzęsąc się całym ciałem, śmiał się tym śmiechem, którym się tylko dzieci śmieją.

Ale nietylko śmiech jego był podobny do dzieciennego. Wielka szeroka twarz Macieja przypominała mi swym spokojem wewnętrznym, który się na niej malował, twarz dziecka, tę twarz dziecka malutkiego, której rysów jeszcze myśl wewnętrzna ni upięknia, ni wykrzywia. Głowa Macieja w porównaniu z jego wielkością i objętością wydawała się mniejszą niż była w rzeczywistości. Kark szeroki jeszcze bardziej ją zmniejszał; gdy zaś usiadł, ręce zawsze o kolana opierając, to z tyłu głowa ta nikła jakoś zupełnie i podobny on był wtedy bardzo do kopy siana ostro zakończonej, a z boku przypominał mi owe niezgrabne, lecz poważne figury i wyobrażenia, które ludzie wieków minionych na skałach i kamieniach wykuwali.

Wogóle im dłużej mu się przyglądałem, tem silniejszą stawała się we mnie chęć poznać tego wielkiego chłopca trochę bliżej, dowiedzieć się o nim coś więcej. Postanowiłem więc skorzystać z okoliczności, która być może nie prędkoby się później przytrafiła i przesiedzieć już cały wieczór u szewca.

Maciej rozgadał się ogromnie, gadał pytany i niepytany, był mówniejszy niż się spodziewałem; chociaż jednak mówił dość bezładnie, od przedmiotu odstępował zawsze dość daleko, słuchałem go ze wzrastającym zajęciem. W opowiadaniu swem teraz nawracał on najczęściej do życia swego w kopalniach złota, „na pryiskach“, jak sam mówił. Jakkolwiek życie tamtejsze znanem mi było z wielu najrozmaitszych opowieści, słuchałem go cierpliwie, ciekaw wskazówek w kwestyi dość drażliwej,

w jaki to sposób zebrał on kilkaset rubli tam, gdzie środki z bogacenia się są zawsze, rzadko jednak godziwe.

* * *

— I holowałemże ja, holowałem na tych pryiskach—ciągnął Maciej po powrocie z kuchenki—postawili mnie z początku w siachcie, ale jakoś zobaczył mnie sam *uprawiajuszczy* *).

— A cto jeto za wielikon takoj,—po naszymu niby to wielgolud, pyto, o! jakby to ludzi, psionkrew, nigdy nie widział.

— Powiadają mu: to Maciej bandzie, iz polaków.

— Chorosy ze polak, dawać tu jego!

— Posłali po mnie; przychodzę, czapkę zdjęnem—i Maciej sięgnął rękami do głowy—ale się nie kłaniom, ni! bo co mi ta?

— A to taki głupi, pyta się, ty otkuda? — Hi, hi, hi! a otkudaże mam być, kiedy z Polski jezdem! a potem znowu: a chleb ty umiesz piec?

— Na przekpiwanie mnie wzion czy co, pomyślałem, ale nie pokazuje tego po sobie i powiadam; kiej to babska rzecz, to jest niby babskie dzieło, a nie muzyczne, tłómaczę jemu; zrozumiał czy nie zrozumiał, lichy go wie, tyło kazał wziąć mię do pomocy *chlebopiokom* **).

— Ale w tej piekarni rozpusta, pijaństwo a złodziejstwo, Boże odpuść! ale we nic się nie wtrącam, robię, co mi każą, a pilnować czy naglądać nie kazali przecie. Tylko moje chlebopioki, jak zobaczyli, że się ich stucham i mogę za dwóch, a do niczegoj się ni wtrącam, dawaj hulać jeszcze lepiej, pijatyka jak w karczmisku. Przychodzi *uprawiajuszczy* raz, drugi chlebopioki pijane, ja tyło jeden harcuję kule chleba tego. Popatrzał i poszedł. Przychodzi na drugi dzień znowuj, a u nas batalija cała idzie: pobili się z tego pijaństwa. Kazał ich pozamykać do katałazki ***)) i pyta znowuj:

*) Zarządzający kopalniami. Mowa tu o prywatnych kopalniach złota tak zwanego olekmińsko-witymskiego okręgu.

**) Piekarzom.

***)) Do kozy.

— A umiesz chleb piec tero, naucyłsia? Ano tom zrozumiał, że nie przekpiwa, śmieję się, i „ajakże, naucyłsia, naucyłsia“, powiadam. Kazał mi być starszym chlebopiokiem. Co było mąki w piekarni wzięni i wydali mi preporcyjom na cały tydzień. A mąki było nie-mało, bo więcej jak na dwiestu ludzi piekło się u nas. Piekę se tedy i kalkuluję tak, żeby mi starczyło; tylko tydzień kończy się akurat, *uprawiajuszczy* jest znowu:

— No cóż, Matwiej, powiada, mąki chwaciło?

— Nic nie mówię i wiodę go do stancyi, w której mąka leżała, i ot pokazuję, co się ostało, a ostało się bez mała trzy kule *). To, jak zobaczył, oczy tyło wytrzeszczył:

— Ano choroso, choroso! powiada. Zawołał zara materyalnego **) i kazał mu, aby z kóznego ostatku zapisował zawdy połowę na ekonomijom do magazynu, a połowę dla mnie na nadgrode.

Ale że to na takim pryisku różnie bywa, to ludzi co niemiara i tknąć ich niema gdzie, to znowu jak zacząć uciekać i do siachtów nie starczy, stałość się i wtedy tak: tu roboty pilna na gwałt, a tu ludzi mało.

Wzięli mi z początku jednego robotnika, później drugiego i po tygodniu, i więcej, z jednym się tylko ostawałem, a to dzień, dwa i zupełnie sam. Od świtu do świtu stoję przy dzieży i przy piecu. To już jak mi robotników zabiorą, *uprawiajuszczy*, widząc, jak się ze mnie pot ciurkiem leje:

— Wódki, krzycy, dawać Matwieju, ila zechce! Pij, powiada, ila chce. Ja se wódki nie żałuję, aleć zawsze złe już szklanka, a to i poł butelki co dnia się os-tanie. To już moje i kiepsko rubla codzien mam z tego ***).

*) Kulem zowie się worek, zawierający 5 pudów mąki.

**) Materyalny—oficyalista, zarządzający magazynem prowadzonym.

***)) Wódka w kopalniach znajduje się tylko w magazynach i składach właścicieli kopalń i wydaje się wszystkim w porcyach ograniczonych. Wskutek tego kontrabanda wódki jest tu bardzo rozwiniętą. Wiadro spirytusu sprzedaje się tu zwykle za sto rubli i to spirytusu bardzo kiepskiego. Trzeźwy i mocny robotnik, który przy ciężkiej pracy może się obejść bez wódki, sprzedaje zwykłą swą porcję i z tego ma grosz ładny.

Ale czy od holowania tego, czy co, zaniemogem ja-
koś odrazu, odjęło mi ręce i nogi, plamy czarne poszły
po ciele, a zęby jak klawisze we organach latają. Do
szpitala. Doktor mówi: cynga *). Cynga czy nie cygna,
tyło ze mną coraz gorzej. Aż tu dopiero jeden z robo-
czych **), co w bolnicy takż leżał, ruski jakiś, człek stary
i brodiaga ***) bywały, powiada mi: Ty ich nie słuchaj,
nie słuchaj i doktora, bo cię zaleczą na tamten świat,
a ot posłuchaj dobrej rady: poslij kogo po muchomory
do tajgi, nałóż ich pełną butelkę i jak postoi, a nabierze
mocy, pij w dzień jeden kieliszek nastoju i wódki, ile
wlezie. Zrobiułem akuratanie, jak kazoł i po tygodniu,
jak ręką zdjęno.

Tylko ten sam roboczy znowu, widzę przychodzi,
myślę sobie po poczęstunek, postawiłem poczęstunek
dobry, a on powiada:

— No i cóż ty myślisz?

— A jo myślę, że to dobra sztuka, tyło nie do
trzech raz.

— I dobrze, myślisz, on znowuj, widział ty, powia-
da, jak powar ****) dla uprawiajuszczego mięso ze żył
oczyszczona na kutletki?

— A jakże nie miałem widzieć, widziałem, powiadam.

— No to widzisz, jak tu ostaniesz, to i z ciebie
wszystkie żyły powyciągają, siłę twoją wielką zabiorą.
Zebrałeś trochę grosza, to i ruszaj ztąd, nie oglądaj
się na nic.

— Wyszedłem tedy ze szpitala i po razciot *****). Ale
korowodów miałem nie mało; „ostań się i ostań“, powia-
dają, „i pensyjom damy większą i to, i sio“. Ale jo ni,
dobre pieniądze wase, alie drogie, powiadam. Upra-
wiałuscy okrutnie się rozgniewała, „durak“, krzycy, i
rozrachowali mię, a dostałem do ręki bez putorasta ty-
siąc rubli równo.

* * *

*) Skorbut—zwykła choroba w kopalniach złota.

**) Robotników.

***), Włóczęga; brodiagą zowie się deportowany, który
uciekał z Syberyi, zmieniał nazwisko i t. p.

****) Kucharz.

*****) Rachunek.

— I czyż rzeczywiście piliście ów nastój Macieju?

— Aa! pirse likarstwo! odparł zapytany, ale gdy
szewc, zrozumiawszy budzące się we mnie wątpliwości,
usuwał je znacząco wypowiedzianem objaśnieniem:

— Aktualnie, takiej maszynie i dwie butelki mucho-
morów nie zaszkodzi—Maciej miana tego już nie przy-
znał za sobą:

— Cy to ja tero masyna, buj się pon Boga! a dyc
ze mnie połowy się nie ostało!

— Więc grubszy byliście?

— A no, mówię przecie, nie taki bułem! I do czego
to ja tero podobny, jak ten charcisko ścieniałem! abo to
ręka?—i odwinawszy rękaw koszuli, ukazał nam rękę,
którejby nie jedna noga pozazdrościła.—Cy to noga?—i
obcisnąwszy rajtuzy szerokie, z politowaniem szczerem
patrzył na jej łokciową objętość.—Nie taki bułem,—za-
kończył z wetschnieniem.

Domysleć się łatwo, że mi o westchnienia podobne
bardzo chodziło; grunt zresztą już był nieźle przysto-
wany i Maciej, tak rzadko zapewne doznający ulgi wy-
wnętrzenia się szczerego, dziś już i tak wzburzony, nie
potrzebował silnej podniety. Dość było, że go słuchał
z niekłamanym zajęciem, dość więc było, gdy powta-
rzać zaczął częściej i z naciskiem silniejszym: a co, a
jak, a czyż? Na każde takie pociągnięcie „ho, ho!“ ma-
ciejowe odpowiadało coraz głośniejsze, twarz silniej kra-
śniała i gdy zagotował się samowar, Maciej wymówił już
szewcowi posłuszeństwo i nie chciał nalewać herbaty.

— Cy to jo nigdy pogadoć nie mogę i cy to jo
gadam z kim kiedy? pon we sklepie, pon wi, jak i obyjsz
się i gadać z ludziami, a jo przecie nijak nie mogę;
boć nietylko z tutejszemi, ze swymi nijako mi, taki jo
prosty! Kucno samemu i z ciałą spadom nie darmo, aleć
do nikogoj nie lażę, bo i ludzie ze mnom kucejo. A tu
panisko kózne słowo ludzkie rozumi, nie wydziwia, nie
wysmiewo i jok ze swym se gadom. I na sercu lzy zaro.
Nalijze pon som, a mnie już nie trza tygo caju głupiego.

Szewc, jakkolwiek oburzony tak wyraźnem prze-
wroćeniem porządku społecznego, udobruchał się jednak
i zajął herbatą, a Maciej, uwolniony od jednego z naj-
przykrzejszych swych obowiązków, stał się jeszcze
weselszy.

Usadowiliśmy się oba na kanapce. Maciej miał mi opowiadać swe dawniejsze dzieje. Czerwony on był jak piwonja, ale rzecz dziwna, usiadł i zamilkł, i choć już parę razy zagabywałem go: „no i cóż Macieju? — Maciej milczał. Tylko głębokie sapanie wskazywało, że milczenie owo nie oznacza zamilknięcia zupełnego. Przeciwnie, to myśl, zwolna pracująca, roznieca i rozpala mego narratora.

Maciej siedział jak zawsze prosto, z szeroko rozstawionymi kolanami, na których spoczywały obie ręce, siedział tak chwil kilka z oczami, jakby w przestrzeń daleką utkwionymi, siedział nieruchomo w ową przestrzeń, która się może przed nim odkrywała, zapatrzony i tylko twarz jego pałała. I już rzucić mu miałem nowe energiczniejsze pytanie, by go wyrwać z zadumy głębokiej, gdy Maciej, nie patrząc ni na mnie, ni na szewca, tak nam zaczął:

* * *

— Słychaćce pon pewno o wodzie wielgiej, rzyce bystrej i carnej, co Narwiom się zowie?

— Niedalecko od ty rzyki je trzy wsie niemałe Mocarzami zwane.

— Duzo wsiów różnych widywałem, na ludzi różnych patrzałem; widziałem i tatarskie wsie wielgie, i cełdońskie *) ni to miasta rozległe, i brackie **) ułusy i nad Angarą, i zamorskie ***) takóž, i we wsiach u siemiejskich, co za morzem mieszkają i polakami się zowią ****), a żyją dostatnio, bywałem i nikaj, nikaj wsiów nad nase Mocarze nie widziałem.

— Cegoz bo tam niema, co bo tam nie jest, Chryste mój miły! I podniosłszy obie swe ręce, Maciej wyciągnął je przed siebie.

*) Wszyscy deportowani, bez różnicy wyznań, rossyan syberyjskich zowią czelidonami, — ci zaś deportowanych — warnakami. Są to nazwy pogardliwe. Warnak od *wor nag* — nagi złodziej.

**) Burjatów zowie ludność miejscowa brackimi.

***) Zamorskiemi zowią się ziemie, leżące za Bajkałem.

****) Staroobriadcy, mieszkający za Bajkałem, zowią się siemiejskimi v. polakami, wysiedleni tu w XVIII w. z Polski.

— A te błonia, a pola, a te sianozęcia, jak łany! A te gaje, dąbrowy, a te zboża jak złoto.

— Tu wielgie to wsyćko, a nierazne jakości: co tu w tajdze obacys, cem tu się w polu uciesys? Zokola jak grobem cię obdaje: w górze sęp zaświscy, w tajdze miedźwiedź zarocy — ot i radość caluśka! U nas inacy.

— Wyjdzies rano, a huknies po rosie, to jak dzwonem zadzwięcy w powietrzu! Spojrzys na to stworzenie wesole, a posłuchos świergotu, co i ze ziemi, i z drzewa, i z wysoka z pod niebiosów się niesie, toć wesoło na dusy! a pociągnies wonności, co z tych polów, z tych łąków az biją, jak z kadzielnicy w kościele, nabierzes tygo powietrza we siebie, to i siły przybywa we dwoje! Nigdzie i nikiej nie cułem w sobie ty siły, co w Mocarzach, kiedy o wczesnym poranku słonko nase witałem! Tu i ranek nijaki, świat nie raduje się jemu: ni to ptak, ni to zwierz, ni to celidon go nie zno. U nas inacy.

— Tyle ziemiów widziałem, całą tę wielką Syberyom do morza przesedem i ziemi zamorskiej kawał niemały, a ziemi takiej jak nasa nigdzie nie nalazem! aleć o tem tu się dopiro dowiedziałem. Tu dopiro! Cy jo tylo? Som ze u nas ludzie mądre, som i księdze, som i pany, som i chłopcy głowace i nikt nie wi, co majom!...

* * *

— Te wsie Mocarzami zwane, kózna ma swoje przezwisko. Jedne niby to najstarsze zowią się Korzeniste, drugie Suche, a trzecie najmłodsze — Mokre. Ja bande z Mocarzów Suchych.

— Wiesz to tyż duży, dziedzicem naszym był pan Olszeski, a byliśmy pańszczyzniani. Przy pańszczyźnie, jak wiadomo, nie powiem, żeby dobrze się działo. Podrosem, miałem już pewno lat ze dwadzieścia, gdy Olszeski wziąć mnie kazał do dwora.

— A choleryk był z niego: zółty, suchy i mały, a i zły tyż, powiadam, jak ten ciort nad duszami. Tylko, że zły to on był prawdziwie, ale wtedy tylko, jak się rozgniewa, chociaż gniewał się byle o co i wtedy to pieniał się ze złości, łaska boska, zawdyć jednak nie długo. Nakrzyczy się, namiota, poźółcieje jeszcze gorzej, ale jak tylko przestanie, mogli mu później wszyćko mówić, słucha i choć go trzęsie, nie gada. Był sprawie-

dliwy. Młodzi, to nie można powiedzieć, żeby go lubili, ale co starsi, a gospodarze, zawsze nam mawiali: nie zważajta, że krzyczy, z dwóch psów zawdy lepszy ten, co głośno szczeka. I prawdę mawiali; nikogoj on prawdziwie nie skrzywdził, ludzi nie mordował, ale o tem już się później dowiedziałem. Tymczasowie wiedziałem jedno, że zły nasz Olszeski i bałem się go jak ognia. No i dalej zawdy ode złego. Tylko nie wiem już z jakowej przyczyny, ja od niego dalej, a on za to bliżej. Czepia się do mnie ciągiem, wydziwia. Bóg wie nie co, a wymyśla i beśta jak nieboskie stworzenie. No, ale pamiętaj, co mi tatuś nakazowali, nie zważaj, że zły, pamiętaj, że sprawiedliwy, cierpię i cierpię i ni słowa nie pisnę. I długobym cierpiał tę poniewerkę, gdyby mój Olszeski nie przesolął. Wydziwiał rozmaicie i na koniec, żeby mi już dopiec do żywego, zaczął mię zwać, to i tero nawet nieprzyjemnie spominać „skurcybykiem i głupim drongalem“. Jak tylko bywało przyjdzie na podwórze, co nie zrobię, co mnie nie zobaczy, choć uciekam przed nim, jak zając przed psem, zaraz krzyczy: Ej ty, skurcybyku, ej ty głupi drongalu! a głos miał wcale nie wedle siebie, prawda, cienki i piskliwy, ale taki syczący, przejmujący, że go słysząc było jak świstawkę. To jak mi krzyknie tego skurcybyka albo drongala, aż się przewraca we mnie.

— Głupi ja to głupi byłem dla niego, ale nie za takiego już głupiego mieli mnie swoi. Czy to w karczmie przy skrzypce, czy to w polu przy robocie najcięższej, nie było we wsi parobczaka, coby sprostął się ze mną. Bo od roboty, jak i od ochoty, nigdy nie uciekałem, a siłę miałem, mówić nie darmo, nie taką jak tera; czego nikt nie zmógł, do tego Macieja stawili.

— A tu napaść taka, poniewierka ni z czegoj? Ano, myślę dość już tego, dość już tej poniewierki, niech się dzieje wola boska, pokażę mu, że nie taki już skurcybyk, nie taki „głupi drongal jezdem“. Teraz to już nie wiem, czy zmógłbym, ale wtedy to tak było, że ni jednej fornalki u nas nie było, którejbym nie zatrzymał; jak wezmę za zad, bij, zabij, konie nie ruszą. Z cugowemi nie próbowałem, stangret nie dał: „złomies jeszcze karyte“ powiada, a potem mnie się za ciebie dostanie. Ale, niech już co chce dędzie, spróbuję.

— We święto to było, kazał zaprzęgać, ale nie do kościoła, bo som tylo wysed, widno do miasta jechał, wysed, usiad se dobrze, drzewicki zamknął i ceka, a lubił, żeby konie wraz brały i ostro brały.

— A ja już stojem z tyłu, nogi rozstawiłem dobrze, żeby oprzeć się można; jedną ręką pod bok się wzięciem, a drugom—za zadek ty karyty, a serce to mi jak młotem wali, bo i nie utrzymom może takich wypasionych hamanów, myślę sobie, a najgorzy pierse sarpienie. Wsyćkom siłę zebroł—natęzułem się i konie sarpiły, az mi w rękę zatrzescało, sarpiły raz, sarpiły drugi i—ni kroku z miejsca.

— Rusiaj! zapiscało z karyty, a tu pani z panienkami w oknach stojom i chuśteckami wymachujom.

— Rusiaj, trutniu! zapiscało, ale już ze sykiem.

— Widno jednak, Wacho stary domyślał się, co to za jenteres, bo jak obacuł, że konie az się spinajom, a z miejsca ruszyć nie mogom, koni nie zacina, aby, broń Boże nieszczęcia nie było, nie zacina, tylo obraca się ku niemu i powiada, a jakże mom rusiać, kiedy Maciej pewno trzymo?

— A to skocuł, jakby go wrzątkiem podlał, a trząs się tak, że tchu złapać nie mógł i odwrócił się, i patrzy bo karyta spuscona była, a cały az zielony, patrzy mi prosto w ocy, a ja trzymom i jakim już raz spojrział na niego, nie odwracam się i takoz patrę, tylo od trzymania tego to mi żyły się ponaprzęzały i krwią nabiegem cały i jaki byłem, nie wiem, tylo mój pon popatrzał, popatrzał i ja tu myślę, Bóg wi nie co ze mnom tero robi, a on... zrozumiał, widno... Ześnurował usta i uśmiecho się i ot te tylo słowa: „a toś mocny! a toś mocny! no puść tero, Macieju“, powiada.

— Puściułem, konie porwały, myślałem, że ponie-som może.

Maciej usiadł zmęczony, gdyż całą scenę zatrzymania powozu odtworzył przed nami z możebną ścisłością: stał pod bok podparty, trzymał ręką powóz końmi silnemi szarpany, patrzył groźnie swemu panu w ocy, sam z oczyma krwią nabiegłemi, rękami konwulsyjnie ścisnionemi...

I jeżeli w niezgrabnych juntach *), osiwały, osłabły, wpół z ciała spadły, pięknym i groźnym Maciej wydał mi się, jeżeli dziś jeszcze oczy jego błyskawice miotają, to jakimże on być musiał wtedy, gdy stał tak kiedyś przed panem, w obronie swej godności ludzkiej?

* * *

— Od tej pory, ciągnął Maciej po pewnym przestanku, mój pan inny. Nie odrazu, co prawda, bo z początku stronił ode mnie i choć beśtać przestał, słowa, długo nie wymówił. Ano, myślę, sobie, gorzej będzie, bo napewniaka szykuje mi co takiego, że ruski miesiąc popamiętam. Ale ni. Zaczął i zagabywać mnie potem, a zawdy dobrze, zawdy po ludzku i rok nie przeszedł, „pirse łaski mom u niego“. Czy gdzie posłać, czy z pieniędzmi, czy z panią, abo z panienkami, nikt tylo Maciej, i już później, jak mnie poznał, to i nie zakazował: „a nie upij się, a nie zasiedź, a koni nie zamorduj“, powie tylo to i to i już, jak w książce napisał, wszystko je, jak przykaże. No i polubiałe mnie! i bez te kilka lat, co byłem jeszcze we dworze, słowam marnego nie usłyszał. Dobrze mi było. Tylo we dworze dobrze, aleć warto i o sobie pomyśleć. Ja ta sam, co prawda, choć mi tatuś o tem nieraz gadali, niewiela o tem myślałem i nie prędkobym pomyślał, żeby nie ożenek. Bo i czegoż myśleć o lepszym, kiedy mi dobrze było, a od dobrego nikt nie ucieka. Robota była, ale i wesela niemało.

— Z jednych dożynek co to radości bywało, a w karczmie co niedziela skrzypek nasz mocarski jak zagra, to i starym nogi podrygują!

— A dziewczuchy nasze? Ii! nigdzie takich niema! bo choćby i tu na ten przykład, czyby choć razik pokazała się jaka do mocarskiej naszej dziewczuchy podobna?

— Zachciało się Kasi gruszek, znalazł, gdzie ładnych dziewczyn szukać, myślę jednak, że u nas w Wiślicy znalazłaby się niejedna od mocarskiej lepsza?

*) Unty—albo junty, obuwie bez obcasów z miękką podszewką i szerokimi cholewami.

Maciej dość pogardliwie zmierzył szewca i, nie odpowiadając mu nawet, prowadził rzecz dalej.

— Przyjdiesz bywało, gdy się już zbierom, to jak te kwiaty, jak lilije same! a usłyszysz, jak chichoczą chi, chi, chi! chi, chi, chi! jak z za fartuchów ślipiami błyskajom, to i sam nie wiesz, jak krzykniesz:

— Hu, ha! Ognia chłopcy podkówkami! ano, grajku, grajze zwawo! a oberka, a moigo, rznij od ucha!

— I Maciej byłby puścił się w płasy, bo „hu, ha!“ wyrzucił z taką siłą, że aż w uszach zadźwięczało, gdyby szewc, urażony lekceważeniem poprzednio mu okazanem, nie osadził go uwaga:

— Fartuchami zakrywają? zwyczajnie prostota!

Maciej, już porywający się, usiadł, szewcowi jednak nie przepuścił.

— Prostota? wiadomoć, nie tak jak w mieście, gdzie wszystko zaro na pokaz. Ale nie wydziwiłby pan. A pomiędzy temi dziewczuchami to najbardziej mi się udała...

— Kaśka? szewc wtrącił.

— Ni, nie Kaśka, tylo Maryś właśnie, a dziewczucha to była między mocarskimi pirsza, a choć jedna w domu była, bo bez matki, rządna, pracowita, zawdy czysto kiele niej.

— W polu zawdy przodownica. Kiedy, bywało, stanie na zagonie, to, gdy drugiej i nie widno we zbożu, Maryś moja się nie schowa i choć zagony duże, putoraczne, spojrzysz z tyłu, to się widzi, z pół lichy bezmała zajmuje! Dziewka była krzacasta, w sobie dobrze rozrośnięta, a cerwona, jak ten mak w ogrodzie, jak ta wiśnia na słońcu. A jędrna tyz była w ciele, to i opowiedzieć nijako. Zechces uscypnąć bywało...

— A gdzieście szczypali, w gębę? — przerwał szewc impertynencko.

— Nie wydziwiłby pon! Cy to ja z panów, abo z mieskich jakich, zeby scypał dziewczkę w gębę, a swoją Maryś jesce? Scypałem, gdzie trza...

Szewc tryumfował i teraz, gdy zdołał dowieść narzeczcie czarno na białem jego zupełnej nieznajomości form towarzyskich, tej najprostszej przyzwoitości miej-

skiej, z wyrażeniem nieskrywanego zadowolenia i ironji słuchał objaśnień maciejowych.

— Scypałem, gdzie trza, powtarzał tymczasem Maciej gadatliwie, ale po próżnicy, bo nijak nie można; siłę w palicach miałem przecie niemają, a zechcę uscy-pnąć, nie mogę. I wielki palec do zgiętego wskazi-ciała to przykładając, to odejmując naprzemian, strzygł w powietrzu palcami jak nożycami, okazując nam w ten sposób próżność i bezskuteczność swych wysiłków. „A choć i przypresz ją gdzie bywało i tknies dobrze palicami, nie bierom, opsną się zawdy. Dziewka, jedno słowo, jak rzepa.“

— Zalicanki więc do niej prowadzę i dziewczyna, widzi mi się, nie od tego, co i zerka zawdy, i tańczy ze mnom najłepi, tyło, myślę sobie, obacę, jak te moje jenteresa idom. Więc w niedzielę raz, z wieczora, wy-patrzułem, jak śła na tańce, a trza jej było przeleść bez przełaz kiele wojtkowy chałupy. Stanąłem se tam i stoję, a cekom. Słysę nareście, idzie, słysę, bo słysząc zdaleka, jak stąpa moja dziewczucha. Przysła do prze-lazu, nogie dobrze podniosła, przefajtła się na drugom strone i juz ma zeskoczyć, az tu, patrzący na to wsyćko, nie wytrzymałem — skoculem do płota i łap jom w pół, a, widzi pon, je piosnecka jedna taka, co się kończy:

„Leci kacor z jeziorzyska,
Nie odwracej ze mi...“

— Więc tę piosneckie śpiewający, trzymom i chce pocałować, alic nie wymówiłem słowa, co je do składu, bo się mówi: „nie odwaracajze mi pyska“, jak mnie nie trzaśnie między ocy, az mi w ślipiach pociemniało i nie opamiętałem się jesce, a tu, chlast! mię w pysk z jedny, chlast! z drugi strony i „na ci pyska, na ci pyska, galanciku! a wara! a zasię!“ krzycy i chlasta, i chlasta, jak kijankom po wodzie.

— O rety, o la Boga! co za napaść taka! a to tak ogłupiałem, że się nijak opamiętać nie mogę, a cuję tyło, bo dziewczuka krzepka była, jak mi pyski rosnom od tygo chlastania. Przestała nareście, siadła se na płocie i dopiro dojmać mi i molestować:

— A cy to ja się od was takiego sromu spodzie-wałam, Macieju, a cy to ja jaka taka, a nie gospodarska

córka, a cy to ja dworska jaka, a wietrznica, cošta bez przełaz do mnie drogę naleźli?

— A no to, jak mi to powiedziała, zmiarkowałem, tyło że nie przysedem jesce do rozumu, to i zeskoczyło mi z języka:

— A bez co? powiadam, a no to znowu jak ziaru na niom sypnon.

— Bez co, bez co? krzycy. A cy to wy mały, a nie parobek jestešta? Widzis go, mądrala, do zalica-nek się zabiera, a nie wi bez co do dziewczuchy utrzymałej droga wiedzie? a bez ojców, a bez rodziciela! kiedyšta dureń, to wam powiem!

— A no to tak mię za serce jęna, że oniemał nie rozbecałem się jak cielę.

— A przyjmiešta? powiadam.

— Abo wy krzywy, abo jaki, abo to was ojce nie znajom?

— A ty, Maryś? mówię.

— No, a jakze, ajuści, powiada, jak ojce kazom.

— Uumm, a to dziewczuka, myślę sobie, dobra! to tak mi się udała, że byłbym juz nie zwazał, że jesce moze się rozniewa i obłapiułym jom znowuj, aliści nadysed ktoś; ona zeskoczyła i poleciała na tańce, a ja posedem do domu, bo pyski mi powyrastały jak bułki łomżyńskie, co tatuś bywało po trojaku z jarmarku przywozili. Nie wiecerzałem juz, tyło zawałułem się spać na wyśki, no ale na drugi dzień idę do ojców i powiadam tak i tak, żeby zaro dziewczostęby. Choć dzi-wowali się dlaczegoj tak obcesowie, ale uparem się i uprosilem; najgorzej tyło, jak z panem? No ale trudna rada, bez niego się nie obyndzie, poszedłem i też upro-silem, a obyszedł on się ze mną wcale po ludzku i ze służby puścił i dał początkowie pola obsianego i na dwudziesto-morgowem gospodarstwie posadził.

Daliśmy na zapowiedzie i wesele tośmy mieli, jak starzy w Mocarzach nie pamiętali, bo i moi, i jej ojce, choć i nie bogaci, ale zasobni byli gospodarze, a co juz do wypitki, to pan od siebie postawił, no i hasaliśmy, hasali!

Maciej urwał raptownie.

— I nie było już mi życia na świecie, jak bez te siedem lat z moją—zaczął Maciej znowu, ale powoli i dobitnie, jakby odmierzając każde słowo.

— Maryś dziewczka rzadka była, aleć baba jeszcze lepsza.

— Kóżny rok prawie, kiele Bożego Narodzenia, no to już się i rozsypie, alić kłopotów żadnych z tego, bo i trzechby zaraz karmić mogła. A chłopaki wszystko byli, a we mnie kóżny kubek w kubek jak ulany.

I żalność, którą posłyszeliśmy w głosie Macieja i przestanki, które mi sobie folgować zaczął, zwiastowały opowieści wesołej koniec blizki.

— A w domu czysto i rzadnie i wedle jadła, i wedle przyodziewku, dopowiadał Maciej miarowo.

— A co po gospodarstwie, to i mówić nie trza.

— Wiodło mi się: ptasiego mleka brakło tyło . . .

Maciej zamilkł, a my poczuliśmy jakoś, że z ostatniem jego słowem pękła złota nić tego życia, które już tylko sztucznie nawiązywać mogliśmy; poczuliśmy, że inną będzie dalsza opowieść i zatęskniliśmy za tem życiem i żał go nam się zrobiło i choć wiedzieliśmy, że napróżno, łudziliśmy się jednak nadzieją, że ot jeszcze może choć na chwilę usłyszemy śmiech wesoły, popatrzymy na życie niewykolejone. Ale Maciej zwiesił na szeroką pierś swą głowę wspomnieniami rozkołysaną i milczał posępny, łowiąc może ostatnie blaski znikających bezpowrotnie dni jaśniejszych lub może, oglądając, wyłaniające się przed nim z mroku dawnej przeszłości, dnie trwogi i bólu.

* * *

Na dworze srożyła się śnieżycą i dzikie wycie wicheru teraz wśród ciszy, panującej w izdebce, dawało się słyszeć wyraźnie. A ot teraz jęknął głośnie i zatrząsnęło okiennicą, jakby siląc się wysadzić ją z zawiasów. Maciej usłyszał to zapewne, bo podniósł głowę i jakby kończąc myśli własne, wyrzekł nareszcie:

— I wszystkoćby może i do dziś tak było, gdyby nie ta kara boża.

I nam nie żał już było życia dawniejszego, żał nam było teraz Macieja, i widząc, że on cierpi nie zmagając się, zrobiliśmy obaj jedno, cośmy zrobić mogli:

ja przysunąłem się doń jeszcze, szewc przeskoczył ze swego łóżka na drugą stronę kanapki i także usiadł koło niego; może mu lżej będzie, gdy poczuje nas bliżej przy sobie.

— Gdyby nie ta kara boża... powtórzył tymczasem Maciej powoli.

— Jak tyło zaczęła się ta zawierucha, w naszych Mocarzach życie też inne poszło. Parobczaków co lepszych nie stało. Byłbym i ja się w domu nie utrzymał, aleć pan „ni, powiada, co się tam ma zrobić, robi się i bez ciebie, a ty będziesz tu potrzebny“; ano wie on lepiej niż ja, ostałem się. Tyło początkowie myślałem se wraz z Maryś i do czegoj on tu mnie ostawił, bo siedzę tu kilka niedziel po próżnicy, aż tu raz w nocy, przed świtaniem jeszcze, rwetes we wsi; przejechało konnych kilku, ludzie latać zaczęli i dwie zdrowaśki nie przeszło, gruchło po wsi: idom, idom!

— A jak się to po wsi roznieśli, Bóg wie jeden, tak krzykiem jakimś. No ale jak się roznieśli, co było żywego w kóżnej chałupie podniosło się na nogi i wysypało na drogę; rzadka baba, abo i dziewczucha, w spódnicy, a to, jak spało, wszystko w koszulach powylatało. Wtedy to i przystali po mnie ze dwora.

— Od tej pory nalazła się i dla mnie robota i rzadki już dzień w domu nocowałem. Całą okolicę znałem na dziesięć mil wokół, więc, jak trza gdzie co, mnie wszędy. I z listem, i bez listu; i konny, i piechty latałem dnie i noce całe. To odwieźć, to przywieźć, to przeprowadzić. Bywało, tyło co przyjdę abo i przyjadę i powieczerać siadę, a tu już pan štuka do okna. Więc chleba kromkę, sera kawał w zanadrze i w drogę. Maryś tyło w kącie popłakuje, rzadkiej sumy w kościele krzyżem nie przeleży.

Ale Bóg chronił. Konny, co prawda, nie bardzo lubiłem, bo od siły tej mojej to i konie prędko ustawały piechty zawdy jakoś raźniej mi było.

— Tak mi pół roku zeszło. Pamiętam aliści, przyszedłem z ostatniej drogi, z Piekielka jakoś. Błoto jedno takie w lesie, co tylko wiadomy mógł przejść po niem,

tak się zwało. Ale przyszedłem, siedzę w domu dzień, siedzę drugi, nie przysyłają po mnie ze dwora. Siedzę trzeci—też nikogo nie widno.

— Co u licha? czy zasłabł, czy co?

— Przepytyuję dworskich. Ni—powiadają—chodzi, jeździ nawet, nieswój tylo jakiś, bo i krzyzcę przestał. Pytam znowuj: czy nie nakazował co do mnie? Nie—powiadają—nie nakazował.

— Coby się stało, rozumu nie nabiorę. Maryś, zwyczajnie baba głupia, to i rada, „a—powiada—rozłatałeś się, to i w domu ci niemiło, nijako“. No, ale jakem jej powiedział: stul gębę, Maryś, bo ci som stule, —widzi baba, że nie kpiny, milczy.

— Tylo już na czwarty dzień nie wytrzymałem; przyodziałem się, idę do dwora. A choć bez te pół roku, to już bez meldunku wchód miałem do panowego pokoju i we dnie, i w nocy, poszedem do kuchni, żeby mu powiedziałem, że Maciej przysed.

— Zawołał. Wchodzę, pokłoniłem się, a on prawdziwie jakiś nieswój: chodzi jak zwarzony, w papierach coś szuka, a na mnie, kiedy mówi, to i wcale jakoś nie patrzy. A bywało, toć zawdy oko w oko, słowo powie, to rozumiem. Tereź nie ten.

— Ano dobrze, dobrze, Macieju, a co powiesz? powiada.

— Dziwuję się nie mało, bo i co ja powiedzieć mu mogę? No, ale kiedy pyta, to i mówię: a przysedem, czy niema co wedle drogi, proszę łaski wielmożnego pana?

— A no to znowu toż samo; dobrze, dobrze, właśnie myślałem, chciałem sam postać po ciebie, trzeba list zawieść do Korzenistego.

— Usiadł, napisał i daje.

— Nie widzi mi się to, co prawda, boć wiem, że do Korzenistego nijakich takich interesów nie ma; no ale znowuj i myślę też, głupi ja jestem, zkąd mi o wszystkim wiedzieć i choć mi się ta droga nie wydaje, zawdyć już rańniejszy się stałem.

— Sprawilem się prędko, wracam i pytam już sam, kiedy przyjść przykaże?

— A, powiada, tera pewno prędko nic pilnego nie będzie, a jak co będzie, to posłę po ciebie, i też, mó-

wiący to nie patrzy i nie swój. Tknęło mnie to, boć wiem, że i sam lata i posyła takich, których dawniej nie posyłał, no, ale mówić nie śmiem, idę i czekam.

— I znowuj czekam dni kilka, a ze dwora ani słuchu ani ducha żadnego. Nie wychodziłem bez ten czas z podwórza, bo, co prawda to prawda, od chodzenia tego to się zawdy kiele domu roboty nabierało niemało; oporządziłem się krzyne i wylazem do ludzi.

— W sobotę wieczorem idę do karczmy. Tylo przechodzę kiele tej wojtkowej chatupy, co je przełaz kiele niej, stało tam ludzi kilku, a stali za węglem, to i nie widać im mnie było, kiedym podchodził. Podchodziłem, słyszałem wyraźnie, jak głośno rozmawiali, a podeszedłem bliżej i zobaczyli mnie, to spojrzeli jakoś po sobie i jak makiem zasiał, ani słowa jednego; powiedziałem „pochwalonego“, to tylo Jędrak mruknął: „na wieki“. No, myślę, możeć o czem między sobą gadają—przeszedłem.

— W karczmie to samo, gwarno było, bo chłopów kilkunastu, jak zawdy przed świętem siedziało i przy wódce i przy piwie; wchodzę, spojrzeli i cicho, jak na komendę odrazu się zrobiło.

— Nie zważam jednak, podchodzę, przysiadam się i podać kazałem, ale widzę, ludzie ze mną jak nie ze swoim gadają. Co u Pana Boga?

— Czyby za moją służbę panu, czy co?

— Aleć jak o tej służbie mojej, tak i o tem, że choć z jego poręki, a dyc przecie nie jemu służę, dawno ludzie wiedzieli i tego nie było. Musić to co innego tedy? I nie swój wcale wracam do domu.

— Tylo Maryś, jak spojrziała na mnie, widzi zrazu, je coś, no i zaro: a co ci, a mój ty? jak baba zwyczajnie. Jak zaczęła dopytywać, a widzę, sama już, Bóg wie nie co, myśli, powiadam: ot co, ludzie ze mnom tero inaksi, a od cegoj, nie wiem? No i mówię, jak było. Ano to jakem tylo powiedział, Maryś rękoma plasnęła i wiem, powiada, bez kogo to, i, patrzy mi się, prawdziwie, bez nikogoj inszego, tylo bez tego ladaco, Mateusza.

— A Mateusz brat mój był starszy i choć to ludzie mówią, niedaleko jabłko od jabłoni pada, na ten raz nie—prawda, bo ani ojce, ani dziady takimi nie byli, ladaco i nie więcej.

— Cóż bez niego? powiadam.

— A to bez niego, Maryś gada, że ludzie o nim źle mówią, i choć nie w oczy mnie, albo naszym, ale słychiwałam i ja, i ojce, jak wygadują: „Oba, powiadają, latać zaczęli, tyło opacnie, jeden tu, drugi tam“. I mówią znowu drudzy: „Kruk krukowi oka nie wykole, co Maciej we dworze się dowi, to Mateus koleniście miemcowi albo Joskowi przedo; co jeden nazbiera, to drugi zeźnie“, no i jeszcze... Ale ja już nie słuchałam, włosy mi dębem stanęły na głowie.

— A cóż ty nie gadałaś, jucho? i ręce podniosłam, ale Maryś jak wodą mnie oblała:

— Co, powiada, sialeju się najadeś czy co, co wrzescys jak opętany? toć chciałam z tobą po ludzku pogadać, a kazałaś mi gębę stulić, zabaciłaś czy co?

— Zesłałam na nic, a nogi to jakby mi podcięło, ustoć nie mogem, dygotać zaczęły.

— Aleć, Jezu ty mój, toć nieprawda chyba? a choćby i prawda, a czy to brat za brata odpowiada, kiedyć i z ojca za syna nie pytają? I leżę się, i myśli różne mi przychodzą, i noc całą oka nie zamknęłam. Na drugi dzień idę do kościoła, pomodłę się, ciemny jestem, do dwora iść nie śmiem, możeć Bóg mi pomoże.

— Do kościoła idący, już się nie zatrzymuję, na ludzi nie patrzę. Modliłam się bez sumy całą, no i spokojniejszy się stałam i umyśliłam się pójść do brata i rozpytać, co to i jak to on robi.

— W kościele jednak pod koniec też widzę, ludzie jakoś oglądają się na mnie, patrzą jak na wilka jakiego. Tyło idę bez cmentarz i przechodzący kiele gromadki chłopaków, słowo usłyszałam takie niedobre, co mi znowu nogi odjęło... Bożeć ty mój jedyny, ratuj mnie, myślę i oczu podnieść nie śmiem.

— Przychodzę do dom, tatuś jak raz byli; tak i tak powiadam, zohydził nas na nic, pójdę i pogadam z nim chyba?

— Dawnoby trza, tatuś powiadają, tyło bądź ostrożny, bo lichy go wie, co i z tobą jeszcze zrobi.

— Gorzej nie robi, jak zrobił, mówię i idę; wodą święconą na drogę się przeżegnałam; na Maryś krzyknęłam nawet, bo uczepiła się, jak pijany płota: „nie idź i nie idź, niech go psy zjedzą, powiada, nie więdzom

ludzie, to się dowiedzo, że nicegoj z nim nie mas“. Poszedem i powiedziawszy pochwalonego, odrazu mu powiadam:

— Je jenteres do was, Mateusu, chciałbym pogadać z wami.

— Ano gadaj, mów.

— Jenteres taki, że chciałbym pogadać dobrze i na osobności i to zaro.

— Zmieszał się i widno domysłuł jaki jenteres, bo powiada:

— A to pódziewa na podwórze.

— Na podwórzu nijako, mówię, ludzie chodzą, zaglądają, pódziewa w pole.

— Ale ja mu to powiedziałem, a on spojrział na mnie z podeśba i widno pomyślał coś niedobrego, bo mówi: niech i tak będzie, tyło posiedz tu trocha, ja pójdę do sumsiada i niedłuzko wrócę.

— Wrócił prawda zaro, wysłiśwa i idziewa za gumna w pole, a za polem niedalecko i las się zacyna. Tyło prześliśwa gumna, za stodołom mateusową stoi i ten sumsiad jego, Walek się nazywał, chłop tyz nieprzyjemny i przyjaciel bratowy wielki. Brat, jak go obacul, uśmiechnął się tyło do siebie, a uśmiechnął jakoś nieprzyjemnie. Ciarki przešli po mnie, widno prawda, co ludzie gadajom, myślę i chmurny idę, i nie gadom wcale, bo Walek tyz idzie.

— No, Macieju, gadajze, coś miał gadać, mówi Mateus i jakby z drwinami patrzy na mnie pewny siebie.

— Jesce nieprzyjemniej mi się zrobiło, jesce markotniejszy idę z nimi. I tak przychodziła do lasu, ale w lesie brat mój obcesowie zacyna i kózne to słowo pamiętam:

— Ha, powiada, miałaś ty ze mną o cemści gadać, a widno mnie gadać wypadnie. Ot, powiada, może i dobrze żeś przyszed do mnie, posłuchajze dobry rady; widno, źle się mas ze swego psiego latania, boć, słysę, nijak pies latas kiele dwora. Ja ci taki jenteres nasykuję, że nie na rok, nie na dwa, prefitu zbierzes, a i ja zarobię: kolenista miemieć, co w ty kolenii siedzi...

— Więcy nie słysałam, a on, widno, nie patrzył na mnie, gdy to gadał, boć gdyby był spojrział nierozumny, toby był ucik ode mnie... Krew mi buchła do głowy i zbiegła wraz ze mnie, buchła znowu i jak zwierz dzi-

ki zarycałem, i skoculem na nich... Mówić nie mogem... siłę tylo miałem strasną... Zwinąłem mu obie ręce w tył jak śnurki, wziętem w lewą rękę i chwyciwszy go w pasie z tyłu, podniosłem w górę; Walka za rękę ścisnąłem az kości zatrzescały, ale Walek stał jak nieżywy.

— Puściłem go, wyjenem nóż, co zawdy wtedy w cholewie nosiłem i podałem Walkowi: Bij tu! zawołałem, lewym bokiem nastawiając Mateusa ku niemu.

— Uderzył... nóż buł tocony... wlaż po trzonek... krew strugom chlusnęła....

— Na drugi dzień już mnie wzięni.

— Ty pytam?

— Jo.

— Za co? pytam.

— Za to i za to, powiadam. Więcy o nic nie pytali... Posedem do katorgi na wieczne....

Patrzyłem na Macieja; błądy on był jak trup, bielszy od ściany białej, przy której siedział, rękami nie wy machiwał, tylko palce jego poruszały się konwulsyjnie.

I przykro mi było, żem go zmusił do przeżycia sceny strasznej, i wyrzucając to sobie; spojrzałem mu w oczy, ale spojrzawszy, zbladłem sam teraz: na mnie patrzyły też same oczy, którem widział po raz pierwszy w Jakucku w czasie opowieści pana Jędrzeja: oczy czyste i jasne, jak woda kryniczna, niewinne i spokojne, jak oczy dziecięcia.

* * *

A na dworze szalały wichry północne, kłębiła się śnieżyca gwałtownie. I straszno mi było, gdy wracał do domu pustym wybrzeżem Leny, przez bezludne ulice nędznej miściny. Szalone zapędy wichru odbijały się we wnętrzach tajgi, okalającej kotłownię, jękiem przerażającym i jękiem tym gnany, biegłem przez zasypy śnieżne pośpiesznie.

Noc ta jednak straszną mi była i w domu. Wicher wył około ścian jeszcze przeraźliwiej, tajga jeszcze żałośniej jęczała. I gdy zmęczony zrywał się z łóżka,

biegł do okna i przykładając rozpalone czoło do szyby zamarzłej, przysłuchiwał się nieprzytomny prawie owym głosom dzikim, słyszałem, jak gnane silniejszymi porywami wichru owe jęki z tajgi wychodzące, zlewały się w jeden jęk błagalny: „O Najwyższy, o Przenajświętsi!“

W marcu 1886 r.

Stron z Lubatowa

Bilo w w toku... nie miały o rok, do...
był w było w jakuko w porzuku...
jakos miedzy po moim przyszedzie do tej...
Ciepłomierz spinywsky. Rozumna...
stojni...
losie...
z...
cz...
sow...
d...
tem...
naszej...
od...
jed...
C...
m...
h...
tem...
S...
W...
sta...
W...
d...
pr...
k...
st...
te...
ge...
s...
r...
nas...
3*

Srul z Lubartowa.

Było to w roku... ale mniejsza o rok, dość że było, a było w Jakucku w początku listopada, w kilka jakiś miesięcy po moim przyjeździe do tej stolicy mrozów.

Ciepłomierz spirytusowy Reaumura wskazywał 35 stopni zimna. Ze strachem więc myślałem o przyszłym losie mego nosa i uszu, które, jako niedawno przywiezione z zachodu, dotąd zawsze dotkliwie dla mnie znały swój protest cichy przeciw aklimatyzacji przymusowej, a dziś właśnie miały być wystawione na przedłuższą próbę. Groziła im ta próba, ponieważ parę dni temu w szpitalu miejscowym umarł jeden z członków naszej kolonji, kurp', Piotr Bałdyga i dziś rano mieliśmy oddać mu ostatnią usługę: złożyć w ziemi zamarzłej jego sterane kości.

Czekałem tylko na jednego ze znajomych, który miał zawiadomić mnie o czasie pogrzebu; czekałem niedługo i zabezpieczywszy najstaranniej nos i uszy, podążyłem za innymi ku szpitalowi.

Szpital był za miastem.

W podwórzu, trochę opodal od innych budynków, stała szopa niewielka — trupiarnia.

W tej to trupiarni leżało ciało Bałdygi. Otworzono drzwi, weszliśmy i wewnątrz na całej naszej garście przykre wywarło wrażenie; było nas z dziesięciu, może kilkunastu, i wszyscyśmy mimowoli spojrzeli po sobie: staliśmy wobec rzeczywistości zimnej i nagiej, nie okrytej żadnym łachmanem pozoru... W szopie, nie mającej ani stołu, ani stołka, nic okrom ścian, ubielonych śnieżnym szronem, na podłodze śniegiem zasypanej, leżał również ubielony, zawinięty w jakieś prześcieradło czy koszulę, ogromny, wąsaty trup. Był to Bałdyga.

Ciało zmarzło okropnie i aby łatwiej je włożyć w przygotowaną już trumnę, przysunięto je do drzwi, ku światłu.

Nigdy nie zapomnę twarzy Bałdygi, którą ujrzałem teraz w świetle dziennem, oczyszczoną ze śniegu. Surowe oblicze nacechowane było dziwnym jakimś, nieopisanym, bólem, a z szeroko otwartych oczu wielkie żrenice, zda się, z wymówką sterczały het daleko ku mroźnemu, surowemu, niebu.

— Zmarły był chłop zacny, — opowiadał mi tymczasem jeden z sąsiadów, widząc wrażenie, jakie na mnie wywarł widok Bałdygi, — zawsze był zdrow i pracowity, więc zawsze przygarniał i przytulał koło siebie kogoś z biedniejszych; tylko że to i uparty był, jak kurp', więc wierzył do końca, że wróci nad Narew. Widocznie jednak, przed śmiercią zrozumiał, że tak nie będzie.

Włożono tymczasem skamieniałe zwłoki do trumny, postawiono na małe, jednokonne sanki jakuckie, i gdy krawcowa W., pełniąc w danym razie, jako praktyk religijnych świadoma, obowiązki księdza, zaintonowała donośnie: „Witaj Królowo nieba w smutku i radości“, podtrzymując ją urywanemi głosami, ruszyliśmy ku cmentarzowi.

Szliśmy prędko, mróz krzepł i zachęcał do pospiechu. Jesteśmy nareszcie na cmentarzu, rzucamy po grudce zmarzłej ziemi na trumnę, kilkanaście wprawnych uderzeń rydłem... i po chwili tylko mała, świeżo usypana, kupka ziemi świadczy o niedawnem jeszcze istnieniu Bałdygi na świecie. Świadczyć jednak będzie niedługo, kilka miesięcy zaledwie; nadejdzie wiosna, ogrzana słońcem kupka mogilna roztaje; zrówna się z ziemią, porośnie trawą i zielskiem; po roku, dwóch, wymrą lub rozejdą się po świecie szerokim świadkowie pogrzebu i choćby cię matka rodzona szukała, nie znajdzie już nigdzie na ziemi! Aleć i szukać tu nikt zmarłego nie będzie, i pies nawet o cię nie zapyta.

Wiedział o tem Bałdyga, wiedzieliśmy i my i w milczeniu rozchodziliśmy się do domów.

Nazajutrz po pogrzebie mróz stęzał jeszcze. Po drugiej stronie dość wąskiej ulicy, na której mieszkaliśmy, nie było widać ani jednego budynku: gęsta mgła śnie-

znych kryształów, jak chmura, nawisła nad ziemią. Z po za mgławicy tej nie wyzierało już słońce; ale, chociaż na ulicy żywej duszy nie było, powietrze, niepomiernie od wielkiego zimna zgęszczone, donosiło ciągle do mych uszu to metaliczne dźwięki skrzypiącego śniegu, to huk, rozsadzanych w ścianach domów, grubych bierwion lub pękającej szerokimi szczelinami ziemi, to podobny do jęku, żałosny śpiew jakuta. Widocznie zaczynały się owe mrozy jakuckie, wobec których bledną najokropniejsze zimna biegunowe, wobec których strach jakiś niewypowiedziany ogarnia człowieka, a każdy organizm żywy, czując swą niemoc zupełną, choć skupia się w sobie i kurczy, jak pies znędzniały, otoczony zgają ciętuch brytanów, wie dobrze, że to napróżno że wróg nieubłagany prędzej czy później zwycięży.

I Bałdyga, jak na jawie, coraz częściej stawał przede mną. Od godziny siedziałem nad rozłożoną robotą; robota jednak nie kleiła mi się jakoś, pióro samo wypadało z ręki i myśl nieposłuszna wyrwała się daleko po za granice śnieżnej i mroźnej ziemi. Napróżno odwoływałem się do mego rozsądku, napróżno powtarzałem sobie po razdziesiąty rady lekarza; dotąd, trawiącej mnie od kilku tygodni, chorobie stawiałem jaki taki opór, dziś czułem się zupełnie obezwładniony, bezsilny. Tęsknota za krajem pożerała mnie, trawiła nielitościwie.

Tyle już razy nie mogłem oprzeć się utłudnym marzeniom, czyżbym dziś mógł się ostać pokusie? I pokusa była silniejszą, i ja sam słabszy niż zwykle.

Precz więc mrozy i śniegi, precz rzeczywistość jakucka! Rzuciłem pióro i otoczony chmurami dymu tytoniowego, puściłem wodze rozgorączkowanej wyobraźni.

Więc i poniosłaż mnie swywołna!...

Przez tajgi i stepy, góry i rzeki, przez carstwa i ziemie niezliczone, pomknęła myśl lotna na daleki zachód, roztaczając przedemną czary prawdziwe: nędzy i złości ludzkiej pozbawione, piękna i harmonij pełne, moje niwy nadbużne. Ustom mym dziś nie opowiedzieć, pióro nie opisać tych czarów!

Widziałem łany pożłociste, łąki szmaragdowe, lasy starce, dawne dzieje mi szemrzące.

Słyszałem szum fal kłosisłych, gwar bożych piewów skrzydlatych, howor dębów olbrzymów, hardo wichrom urągających.

I napawałem się wonią tych lasów balsamicznych i tych pól kwiecistych, ubarwionych dziewiczą świeżością chabrów niebieskich, krasą wiosny — fijołkiem niewinnym.

... Każdy mój nerw czuł muskanie powietrza rodzinnego... Czułem ożywcze działanie promieni słonecznych, a choć na dworze mróz zgrzytał jeszcze wścieklej i coraz groźniej szczyrzył do mnie na szybach swe zęby, krew jednak żywo zakrążyła w mych żyłach, zapalała głowa i jak zakłęty, zapatrzone, zasłuchany, nie widziałem i nie słyszałem już nic około siebie...

* * *

Nie widziałem i nie słyszałem, jak drzwi się otwały i wszedł ktoś do mnie; nie spostrzegłem kłębow pary, buchających tu za każdym drzwi otwarciem w takiej ilości, że wchodzącego i nie dojrzyś odrazu; nie czułem zimna, które z jakąś beczelną, rozmyślną natarczywością wrywa się tu do ludzkiej siedziby; nie widziałem i nie słyszałem nic i dopiero, gdy poczułem blisko siebie człowieka, wprzód zanim go dojrzałem, mimowoli rzuciłem mu zwykłe w Jakucku pytanie:

— *Toch nado? **).

— To ja, proszę pana, *z mieloczem torguju **)* — brzmiała odpowiedź.

Podniosłem oczy. Nie wątpiłem, że przede mną pomimo wpakowanego nań przeróżnego ubrania, skór, bydłych i jelenich, stał typowy, małomiasteczkowy, żyd polski. Kto go widywał w Łosicach lub Sarnakach, ten pozna go nietylko w jakuckich, lecz i w patagońskich skórach. Poznałem go przeto odrazu. A ponieważ, jak to rzekłem, i pytanie swe, niezupełnie jeszcze przytomny, rzuciłem mu prawie bezwiednie, więc żyd, stojący teraz przede mną, nie przerywał mych dumań zbyt brutalnie, nie był dlań kontrastem zbyt przykrym. Przeciwnie. Z pewną przyjemnością wpatrywałem się w zna-

*) Co potrzeba; pierwsze słowo—jakuckie.

**) Drobiazgiem handluję.

jome mi rysy; zjawienie się żyda w chwili, gdy myślałem i sercem przeniósł się do ziemi rodzinnej, wydało mi się dość naturalnem, parę zaś słów polskich mile pogłaszały ucho. W pewnem tedy jeszcze zapomnieniu przyglądałem się mu przyjaźnie.

Żyd powstał trochę, następnie odwrócił się, cofnął ku drzwiom i pośpiesznie zaczął ściągać z siebie przebraną swą odzież.

Wtedy dopiero opamiętałem się i spostrzegłem, że mu nic nie odpowiedział i że domyslny współziomek, wytłómaczywszy sobie najopaczniej moje milczenie, zechce mi rozłożyć swój towar. Pośpieszyłem wyprowadzić go z błędu.

— Bój się Boga człowieku, co robisz?! — zawołałem żywo. Nic nie kupuję, nic mi nie potrzeba, nie rozbieraj się na próżno i ruszaj z Bogiem dalej!

Żyd przestał się rozbierać i pomyślawszy chwilę, wlokąc za sobą napoty ściągniętą dochę *), zbliżył się do mnie i głosem urywanym, prędko i beztładnie tak mi prawie zaczął:

— To nic; ja wiem, że pan nic nie kupi. Widzi pan, ja tu dawno już jestem, bardzo dawno... Ja dotąd nie wiedziałem, że pan przyjechał. Pan z Warszawy przecie? Wczoraj mi dopiero powiedzieli, że pan tu już cztery miesiące przeszło. Co za szkoda, że się tak późno dowiedział! Byłbym zaraz przyszedł. Dziś szukam pana z godzinę; byłem aż na końcu miasta, a tu mróz taki, niech go diabli wezmą!... Niech pan pozwoli, ja długo przeszkadzać nie będę, kilka słówek tylko...

— Cóż ty chcesz odemnie?

— Ja tylko chciałbym pogadać trochę z panem.

Odpowiedź ta nie zdziwiła mnie wcale; ludzi rozmaitych, przychodzących jedynie po to, aby „pogadać trochę“ z człowiekiem niedawno przybyłym z kraju, spotykałem już niemało; byli pomiędzy nimi i żydzi. Przychodzący interesowali się przedmiotami najróżnorodniejszymi: bywali i prości ciekawscy i gadulscy, bywali i ludzie, którzy o krewnych tylko pytali, bywali i poli-

*) Odzież wierzchnia zimowa. Zwykle ze skór podwójnych sierścią na wierzch i wewnątrz zszycia. Dochy szyją się ze skór jelenich, biedniejsi noszą bydłce.

tacy, pomiędzy którymi niejednemu już się zupełnie w głowie przewróciło. Wogóle jednak pomiędzy przychodzącymi, polityka miała zawsze szczególny mir i poważanie. Nie zdziwiło mnie więc, powtarzam, żądanie nowego przybysza i chociaż radbym był uwolnić mychatę co prędzej od nieprzyjemnego zapachu, zle zwykłe wyprawianych, bydłących skór dochy, poprosiłem go uprzejmie, aby się rozebrał i usiadł.

Żyd widocznie ucieszony, po chwili już siedział koło mnie i teraz mogłem mu przyjrzeć się uważniej.

Wszystkie najordynarniejsze rysy plemienia żydowskiego, zdaje się, wcieliły się w siedzącą obok mnie postać: i gruby, paskowaty, trochę na bok zakrzywiony nos, i przenikliwe, jastrzębie oczy, i broda klinowata, barwy dobrze dojrzałego ogórka, i wreszcie czoło niskie, grubym włosem okolone, wszystko to posiadał mój gość, lecz, rzecz dziwna, wszystko to, razem wzięte, być może, skraszone wyrazem twarzy znędniałej, tchnącej jakąś szczerą otwartością i przyjaźnią, nie sprawiło na mnie w tej chwili złego wrażenia.

— Powiedzże mi, z kąd jesteś, jak się nazywasz, co tu porabiasz i czego chcesz się dowiedzieć odemnie?

— Jestem, proszę pana, Srul z Lubartowa, może pan dobrodziej wie, to zara kiele Lublina; nu, bo u nas wszyscy myślą, że to tak bardzo daleko, dawniej i ja tak myślałem, ale teraz, dodał z przyciskiem, to my wiemy, że Lubartów od Lublina bardzo blisko, zara kiele niego.

— A dawno tu jesteś?

— Bardzo dawno, trzy lata bez mała.

— To jeszcze nie tak dawno przecie, są tacy co po 20 lat przeszło tu mieszkają, a w drodze spotkałem staruszka z Wilna, co blisko 50 lat tu mieszka; ci rzeczywiście są dawno. Ale żyd mnie ofuknął:

— Jak oni, to ja nie wiem, ja wiem, że jestem tu bardzo dawno.

— Zapewne sam tylko jesteś, jeżeli ci czas tak długim się wydaje?

— I z żonem i z dzieckiem — z córką; miałem czworo dzieci, kiedy tu szedłem, ale to podróż taka, niech Bóg zachowa, szliśmy rok cały; pan nie wie, co to etapy?... Troje dzieci odrazu mi umarło, w jednym

tygodniu, to jakby odrazu. Troje dzieci?! Łatwo powiedzieć... nawet pochować nie było gdzie, bo cmentarza naszego tam nie ma... Ja chasyd jestem, dodał ciszej, pan wie, co to znaczy... zakonu pilnuję... i Bóg mnie tak karze...

I umilkł wzruszony.

— Mój kochany, w takim położeniu trudno już o tem myśleć, wszystko to jedno przecie, ziemia boża wszędzie, starałem się go choć czemkolwiek pocieszyć, ale żyd skoczył jak oparzony.

— Boża! jaka boża! co za boża! co pan mówisz? To psia ziemia! Tfu! tfu! Boża ziemia? Nie mów pan tak, wstydz się pan! Boża ziemia, co nigdy nie rozmarza? To przekłeta ziemia! Bóg nie chce, żeby tu ludzie mieszkali: żeby On chciał, nie byłaby taką. Przekłeta, podła! Tfu! tfu!

I zaczął pluć koło siebie i tupać nogami; z zaciśniętymi ustami, skurczonymi palcami groził niewinnej ziemi jakuckiej, szeptał jakieś przekleństwa żydowskie, aż zmęczony wysiłkiem, upadł raczej, niż usiadł, na stołku koło mnie.

Wszyscy zesłani, bez względu na religję i narodowość, nie lubią Syberji; widocznie jednak fanatyczny chasyd nie umiał nienawidzić połowicznie. Czekałem, aż się uspokoi. Wychowany w twardej szkole, żyd prędko przyszedł do siebie, prędko ośwładał wzruszeniem, i gdy po chwili spojrzał mu w oczy pytająco, odpowiedział mi natychmiast:

— Niech pan daruje, ja z nikim o tem nie mówię, bo i z kim tu mówić?

— Alboż żydów tu mało?

— Czy to żydzi, panie? to już tacy, jak tutejsi... zakonu nikt nie pilnuje. Bojąc się jednak nowego wybuchu, nie dałem mu już skończyć, postanowiłem skrócić rozmowę i zapytałem wprost, o czem to on chciał ze mną pogadać.

— Chciałbym się dowiedzieć, co tam słyszać, panie. Tyle lat tu jestem i jeszcze nigdy nie słyszałem, co się tam dzieje.

— Kiedy pytasz trochę dziwnie, nie mogę ci przecież opowiedzieć odrazu wszystkiego; nie wiem, co cię interesuje, polityka może?

— Żyd milczał.

Sądząc, że gość mój, jak i wielu innych, interesuje się polityką, nie rozumiejąc samej nazwy przedmiotu, zacząłem stereotypową już dla mnie, ze względu na wielokrotne powtarzanie, opowieść o politycznem położeniu Europy, naszym i t. d. ale żyd zakręcił się niecierpliwie.

— Więc to cię nie interesuje? zapytałem.

— Nigdy o tem nie myślałem—odparł otwarcie.

— A! teraz wiem, o co ci chodzi, pewno chcesz wiedzieć, jak się żydom powodzi, jak handel idzie?

— Im się lepiej powodzi, jak mnie.

— Słusznie. W takim razie pewno chcesz wiedzieć, czy życie u nas teraz drogie, jakie ceny na targach, poczemu mąka, mięso i t. d.

— Co mi z tego przyjdzie, kiedy tu nic dostać nie można, choćby tam najtaniej było.

— Jeszcze słuszniej; ale ostatecznie o cóż u licha ci chodzi.

— Kiedy ja nie wiem, proszę pana, jak to powiedzieć. Widzi pan, ja tak nieraz myślę, myślę, że aż Ryfka, to moja żona tak się nazywa, pyta się: „Srul, co tobie?“ A co ja jej mam powiedzieć, kiedy ja sam nie wiem, co mi jest. Bo to może nawet i ludzie śmieliby się ze mnie?—dodał, jakby badając, czy i ja zeń śmiać się nie będę.

Ale ja się nie śmiałem. Byłem zaintrygowany: widocznie gniołło go coś, z czego sam sobie sprawy zdać nie umiał i wypowiedzenie czego w języku, którym władał nadzwyczaj słabo, było dlań jeszcze trudniejszym. Aby dopomódz mu, uspokoiłem go, żeby się nie spieszył, że robota moja niepilna, nic na tem nie straci, jeżeli pogadamy z godzinę i t. d. Żyd podziękował mi wzrokiem i po krótkim namyśle rozpoczął taką rozmowę:

— Kiedy pan wyjechał z Warszawy?

— Podług ruskiego kalendarza w końcu kwietnia.

— A czy wtedy zimno tam było, czy ciepło?

— Ciepło zupełnie, jechałem z początku w letnim ubraniu.

— Nu, patrz pan? A tu mróz!

— Cóż to zapomniawszy czy co, przecież w kwietniu pola już u nas zasiane, wszystkie drzewa zielone!

— Zielone? radość błysła w oczach Srula — a tak, tak zielone, a tu mróz!

Teraz już wiedziałem o co mu chodzi; chcąc się jednak upewnić, milczałem; żyd ożywił się widocznie.

— Nu! niech mi pan powie, czy jest u nas teraz... tylko, ot widzisz pan, nie wiem już, jak się nazywa, już po polsku zapomniałem — tłumaczył się zawstydzony, jak gdyby umiał kiedy — to jest białe takie, jak groch, tylko nie groch, koło domów w ogrodach latem, na takich wielkich kijach?

— Fasola?

— A to właśnie! Fasola, fasola — powtórzył sobie kilkakrotnie, jak gdyby chciał wrazić sobie to słowo na zawsze.

— Rozumie się, jest i dużo, a tu czyż niema?

— Tu! Bez całej trzy lata ani jednego ziarnka nie widziałem, tu groch taki, co u nas, z przeproszeniem tylko... tylko...

— Świnie jedzą — odpowiedziałem.

— Ny tak! tu na funty sprzedają i to nie zawsze dostać można.

Czy tak lubisz fasolę?

— Nie to że lubię, ale to właśnie, ja sobie tak nieraz myślę o tem, bo to ładnie przecie, nie przymierzając, jakby laszek rośnie wedle domu. Tu nic niema!

— A teraz — zaczął znowu — teraz, niech mi pan powie, czy w ziemie są u nas jeszcze małe, ot takie — i na palcu pokazywał — szare takie ptaki? także zapomniałem, jak to się nazywa. Dawniej dużo ich było! Bywało modłę się koło okna, a tego maleństwa, jak mrowia się nazbiera. No, ale ktoby tam na nich patrzył? Wie pan co, nigdybym nie uwierzył, że o nich kiedy myśleć będę! Bo tu, tu wrony nawet na zimę uciekają, to maleństwo takie tembardziej nie może wytrzymać, ale u nas pewnie są jeszcze? Ny, panie, są?...

Ale teraz ja mu nie odpowiadałem, nie wątpiłem dłużej, że żyd stary, chasyd fanatyczny, tęsknił za krajem tak samo, jak i ja, że obaj byliśmy chorzy na jedną chorobę; niespodziane takie znalezienie współkolegi cierpienia rozrzewniło mnie wielce, wziąłem go więc za rękę i sam z kolei zapytałem:

— Więc to o tem pogadać ze mną chciałeś? Więc ty nie myślisz o ludziach, o swej doli ciężkiej, o biedzie, która cię gniecie, lecz tęsknisz do słońca, powietrza, ziemi rodzinnej?... Myślisz o polach, łąkach i lasach, o ich mieszkańcach bożych, których w życiu swem biednem nie miałeś nawet czasu poznać dobrze, i dziś, gdy obrazy miłe znikają z twojej pamięci, boisz się pustki, która cię otoczy, sieroctwa wielkiego, które cię dotknie, gdy się zatrą drogie wspomnienia? Chcesz, żebym ci je przypomniał, odświeżył, chcesz, abym ci opowiedział, jaką jest ziemia nasza?...

— O tak, panie, tak, panie! po to tu przyszedłem... i ścisnął me ręce i śmiał się, jak dziecko, radośnie.

— Słuchajże, bracie!...

I słuchał mnie Srul, cały w słuch zamieniony, z otwartymi ustami, wlepionym we mnie wzrokiem; wzrokiem tym palił mnie i podniecał, wyrывał mi słowa, chwycił je spragniony i kładł głęboko, na dnie swego serca gorącego... kładł tam, nie wątpię, bo gdym kończył swą opowieść: „*O weh mir, o weh mir!*“ zajączał żyd boleśnie, zatrzęsa się broda ryza i łzy duże, łzy czyste, potoczyły się po zgnęźnianej twarzy... I długo szlochał chasyd stary i ja płakałem z nim razem.

Dużo wody od tego czasu upłynęło w zimnej Lenie i też ludzkich niemało zapewne spłynęło po twarzach zbrojałych. Dotąd jednak, choć to dawno już było, w ciszy nocnej, w czasie nocy bezsennej, często staje mi przed oczyma posągowa, stygmatem bólu wielkiego ozdobiona twarz Bałdygi i obok niej zawsze się zjawia żółtka i pomarszczona, łzami czystymi oblana twarz Srula. I gdy wpatruję się dłużej w te widziadła nocne, nieraz, zda mi się, widzę, jak się poruszają drżące i blade wargi żyda i głos cichy, rozpaczliwy szepcze koło mnie: „O Jehowo, czemuś taki niemiłosierny dla jednego z najwierniejszych Twych synów?..."

Strielica nad Wietługą
w sierpniu 1885.

Stolarz Kowalski.

Zaznajomił mnie z nim przypadek; ściślej jednak rzeczy biorąc, przypadek ów mógł mieć miejsce jedynie dzięki wiosnie jakuckiej, a więc tej wiosnie, o której wy, szanowni czytelnicy, macie zapewne bardzo niedokładne pojęcie.

Już od połowy kwietnia słońce w Jakucku ¹⁾ zaczyna nieźle przygrzewać, w maju zaś, znikając z horyzontu na kilka godzin zeledwie, przypieka nawet wcale dobrze; dopóki jednak wielka Lena ²⁾ nie uwolni się ze swego okucia zimowego, dopóki nie stopnieją śniegi, w tajgach ³⁾ dziewiczych leżące, wiosny tu niema jeszcze. Śniegi nie podgrzewane ciepłem wewnętrznym ziemi, na kilkaset stóp przemarzłej, lód grubości sążniowej, uporczywie walczą z potęgą promieni zyciodajnych i po dłu-

¹⁾ Jakuck jest miastem stołecznym wielkiej ziemi jakuckiej, tworzącej we względnie administracyjnym jedną gubernię jakucką. Gubernia, inaczej zwana „oblast“, jakucka zajmuje całą północno-wschodnią część Azji i jest prawie tak wielka, jak cała Rosya europejska. Ogromny ten kraj jest bardzo słabo zaludniony i niesłychanie zimny, szczególnie w środku kraju na przestrzeni, posiadającej około 600 wiorst długości i tyleż szerokości, zimno dochodzi do najwyższego natężenia. Ta to najzimniejsza część ziemi jakuckiej nazywa się biegunem zimna północnego. Dalej bowiem ku północy, ku właściwemu biegunowi ziemi, mrozy już nie bywają tak silne. Jak wielkie są tu zimna, zrozumie każdy, gdy się dowie, że już na początku listopada i potem w końcu marca mrozy 30 stopniowe są zwykłe, a w środku zimy mróz dochodzi do 52 stopni wedle ciepłomierza Reaumura (czytaj Reomiura).

Dopiero wiedząc o tem, każdy z czytelników zrozumie trochę ludzi, witających w tym zimnym kraju zbliżającą się wiosnę.

²⁾ Lena jest jedną z największych rzek na świecie, długość jej wynosi przeszło 5.000 wiorst, a wśród mnóstwa wpadających do niej rzek i rzeczek pięć jest większych od naszej Wisły. Szerokość Leny pod Jakuckiem wynosi 7 wiorst.

³⁾ Tajgą w Syberyi nazywa się las duży.

giej dopiero, niesłabnącej pracy, słońce powołuje do życia i najgłębsze wnętrza tajgi zapadłej i królowę wód tutejszych, babcię Lenę, jak ją zowią Jakuci.

W ostatnich dniach maja, ku końcowi walki ciepła dobroczynnego z resztkami zimy surowej, człowiek, po raz pierwszy będący w Jakucku, zauważy tu dość ciekawę, w Europie zapewne nigdzie nie obserwowane zjawisko: każdy odległy, niewyraźnie rozlegający się huk jakoś dziwnie działa na ludzi, znajdujących się na ulicy; i dzieci, i starzy, i kobiety, i mężczyźni zatrzymują się wtedy raptownie i, zwracając się ku wschodowi, w stronę rzeki, z szyjami wyciągniętymi, w skupieniu głębokiem przysłuchują się czemuś chwile.

Jeżeli słyszane odgłosy milkną lub okazują się fałszywymi, ludzie nasłuchujący rozchodzą się spokojnie, ale jeżeli huk pierwotny nie słabnie, lecz powtarza się zaczyna i wzmacnia się, i rośnie, napełniając powietrze grzmotem jakby wystrzałów armatnich lub odległych piorunów, którym wtóruje szum podziemny, do ryku zbliżającej się burzy podobny, wtedy ludzie ci, przed chwilą tak spokojni, ożywają się niezwykle: krzyki radosne: „lód pęka, rzeka ruszyła! czy słyszycie?“ rozlegają się zewsząd i hałaśliwie, pośpiesznie, wszystko to rozbiega się w różne strony, aby co prędzej ludziom, w domach pozostałym, zwiastować nowinę pożądaną. Ale i do znajomych, a nawet mało znajomych, każdy taki człowiek, co tchu zdążający ku swoim, obowiązku jednak zastuka, rzucając wszędzie dwa słowa magiczne: „Lena ruszyła!“ Po chwili słowa owe, powtarzane i modulowane ¹⁾ najrozmaiciej, brzmia po najdalszych domach, jurtach i podwórzach jakuckich, i kto tylko chodzić i wychodzić może, ubiera się i pędzi na brzeg rzeki.

A na brzegu już tłum cały stoi i w zachwycie prawdziwym przygląda się jednemu z najwspanialszych tutaj zjawisk przyrody.

Potężne kry, parte siłą wody, płynącej w siedmiowiorstowym korycie, piętrzą się w domy, góry całe,

¹⁾ Modulować znaczy zmieniać głos, zmieniać ton głosu.

łamią się, trzeszczą, huczą i, osypując się tysiącami, milionami igieł lodowych, grają na słońcu cudownymi blaski.

Ale dłużej trochę pobyc tu potrzeba, przynajmniej jedną zimę przemieszkać należy, aby zrozumieć, co pcha owe tłumy na brzeg rzeki.

Nie wspaniałe zjawisko je zwabia.

To ludzie, którzy w walce z zimnem długotrwałem i mrozami nieludzkimi wyczerpali już swe siły, którzy z utęsknieniem i niecierpliwością oddawna już oczekują ciepła błogiego, biegną tu teraz, aby ujrzyć ostateczny tryumf słońca, ostateczną zagładę zimna nieznosnego.

I radość serdeczna, radość dziecinna, błyszczy na złotych twarzach jakuckich, usta szerokie, śmiejąc się dobrodusznie, jeszcze szerszymi się wydają, oczki czarne świecą jak węgle. Tłum cały jak pijany zatacza się z radości: „Chwała Bogu, chwała Bogu!“ krzyczą ludzie do siebie i, zwracając się ku ogromnym górom lodu, rozbijanym siłą żywiołu przyjaznego, rozkoszują się, napawają klęską wroga nieubłaganego, który teraz, naciskany falami rozhukanemi, kruszy się, miazdzy i ginie.

Po ruszeniu i przejściu lodów na Lenie, ziemia już prędko odmarza i jakkolwiek odmarza na dwie stopy zaledwie¹⁾, przyroda śpiesznie korzysta z trzechmiesięcznego ciepła; w bardzo krótkim stosunkowo czasie rozwija się i rozkwita tu wszystko.

Wielka dolina, w której leży Jakuck, wygląda wtedy czarująco: zyzna, gdzieś gdzie już uprawna, gajami brzoźowymi, mnóstwem jezior, zarośli i łąk bujnych na przemian pokryta, z okalających ją wzgórzy stromych i dość wysokich przedstawia się jak olbrzymi park, srebrną wstęgą szerokiej Leny przewity. A piękność naturalną doliny, jej powaby przyrodzone zwiększa jeszcze tajga ponura, zewsząd ją otaczająca: wśród ogromnych obszarów kraju dzikiego, niedostępnego, dolina ta podobna jest do oazy, wśród pustyni rzuconej.

¹⁾ W całej ziemi jakuckiej ziemia jest zmarznięta na bardzo wielką głębokość, w lecie odmarza na dwie stopy tylko w miejscach zupełnie otwartych, zwróconych do południa, w lasach zaledwie na jedną stopę.

Ale i plemię jakuckie, z pomiędzy wielu innych plemion syberyjskich pod wszelkimi względami dzielniejsze, umie cenić dary słońca życiodajnego i pełną piersią z nich korzystać; wypuszczone z ciasnych i smrodliwych jurt zimowych¹⁾, napelnia ono swą ziemię surową ruchem i życiem, które bije tętnem zdwojonem, pulsuje głośno i silnie. Po święcie ogólnem, *ysechu*²⁾ wiosennym, świąteczny i radosny nastrój ludności nie zmniejsza się wcale. Trawa rośnie jak na drożdżach, krowy i kobyły dają mleka coraz więcej i ambrozya³⁾ bogów jakuckich, „kumys mocodajny“, nie wysycha w „czaronach“⁴⁾.

To też sędzę, że i widok pięknej doliny, i oglądanie na każdym kroku ludzi, używających rozkoszy lata, działały na mnie podniecająco i, doczekawszy pierwszej wiosny w Jakucku, używałem także jej darów całem swem jestestwem: codziennie, wychodząc za miasto, rozkoszowałem się pięknościami ożywionej przyrody, codziennie sprawiałem sobie kąpiel słoneczną.

* * *

W przechadzkach swych prawie zawsze odwiedzałem jaką jurtę jakucką. Jurty te, zwykle rozrzucone pojedynczo i jakkolwiek dość daleko jedna od drugiej, spotykają się jednak w każdej stronie i nadają okolicy, przez ludność jakucką nasiadłej, pozór więcej zaludnionej, niż to jest rzeczywiście, więcej — niż gdyby ludność ta we wsiach się gromadziła. W każdej jurcie

¹⁾ Tylko bardzo biedny Jakut pozostaje na lato w jurcie zimowej. Jurtą zowie się dom jakucki, inaczej niż nasz budowany. Jurtą posiada dach płaski.

²⁾ *Ysech* — tak się nazywa święto wiosenne, na którym Jakuci raczą się kumysem i składają ofiary dziękczynne. Wszystkie wyrazy jakuckie wymawiają się z akcentem na ostatniej sylabie.

³⁾ Ambrozyą starożytni Grecy nazywali pokarm, używany wedle ich wierzenia przez bogów. Pokarm ten miał posiadać taką własność, że, kto go raz skosztował, stawał się nieśmiertelnym. Obecnie wyraz ten używa się nie tylko w poezji, ale i w rozmowie dla żartobliwego oznaczenia jakiegoś pokarmu jako szczególnie smacznego.

⁴⁾ *Czarón* — czasza v. kubek drewniany, wyłącznie do picia kumysu używany. Kumys wyrabia się z mleka kobyłego, jest to napój bardzo posilny i jest ulubionym napojem wszystkich plemion tatarskich.

zawsze można dostać zimnego mleka i kumysu. Prawda, że nigdy i jedno i drugi nie są pozbawione pewnego odrażającego zapachu, o którym ludność tutejsza, niejakuca, wyraża się, „że Jakutem trąci“, ale w ciągu długiej zimy, w której o mleko niejakućkie dość trudno zwykle bywa, przyzwyczałem się do owego specyficznego zapachu na tyle, że i mleko, i kumys pić mogłem i pijałem teraz bez żadnej odrazy w ilości znakomitej.

Z pomiędzy wielu jurt, które już zwiedziłem, najbardziej spodobała mi się jurta w ślicznym ustroniu, w lesie, na dość wysokim brzegu długiego jeziora leżąca.

Jurta ta była własnością Jakuta tak starego, że każdy na pierwszy rzut oka bez omyłki mógł go nazwać *ohonior*¹⁾.

Ohonior mieszkał tu z żoną staruszką i chłopcem wyrostkiem, dalekim zwym krewnym, a dwie krowy z jałoszką, para kobył i żrebię składały cały majątek małżonków.

Wszyscy Jakuci są bardzo ciekawi i gadatliwi. Szanowny ohonior przymioty owe posiadał w stopniu najwyższym, a ponieważ, chociaż kiepsko, mówił jednak po rosyjsku, więc w wycieczkach swych najczęściej ku jego jurcie nawracałem.

Naturalnie, ohonior przede wszystkim dowiedział się, kto, skąd i kim obecnie jestem. Względem Rosyana czy to tutejszego, czy też przyjezdnego, Jakut zawsze zachowuje się podejrzliwie i jest zbyt uniżony; Rosyanin, chociażby oberwany, zawsze jest dlań *tojonem*²⁾. Stosunek do Polaków jest nierównie lepszy. Nie pamiętam, aby kiedykolwiek Jakut jaki przyjął obojętnie wiadomość o tem, że jestem nie *niucz*³⁾, lecz *bilak*⁴⁾.

*Bilak bilak? Yczygej dohór*⁵⁾, wołał zwykle najwstrzemięźliwszy. Odrazu tedy stanąłem z ohoniorom na stopie przyjaznej, a gdy jeszcze dowiedział się on, że jestem *suruksut*⁶⁾, że mógłbym być w razie potrzeby

*suruksutem nasleżnym*¹⁾, a nawet *ulusnym*²⁾, że umiem napisać prośbę do samego *ulochan tojona*³⁾, zyskałem w jego oczach wiele, unikając zbytnej poufałości. Dzięki temu i mleko, i kumys dostawałem zawsze wysmienite, a staruszka, zdejmując *czarón* dla mnie, starannie go przecierała palcami, zlizując podejrzone ślady językiem.

Otóż raz, gdym, wracając z codziennej swej przechadzki, wstąpił do nich na zwykłą porcję kumysu, znalazłem ohoniora w stanie dość niezwykłym; był on nie tylko mówny jak zawsze, ale i wesół jak nigdy, język jego plątał się wprawdzie, ale też za to nie czuł wcale zmęczenia. Okazało się, że starzec czcigodny tylko co wrócił z miasta, i widocznie *argy*⁴⁾ ognista rozgrzała i ożywiła drętwiejące członki.

— Bilaki dobrzy ludzie, wszyscy dobrzy — bełkotał niewyraźnie i prędko staruszek, starannie nakładając swą fajeczkę moim tytuniem — każdy *bilak* jeżeli nie *suruksut*, to doktor, jeżeli nie doktor, to kowal, jakiego pomiędzy Jakutami nie znajdzie. I ty widać jesteś człowiek dobry, i *suruksut* musisz być dobry, to też wszyscy my lubimy bilaków, i *sach*⁵⁾ zawsze pamięta, że *bilak* brat jego.

— Ale nie uwierzysz chyba, mój bracie, gdy ci powiem, że to od niedawna się stało i ja ot, choć już więcej niż siedemdziesiąt traw zjadły cielecia w moich oczach, przed piętnastu jeszcze laty bałem się bilaków, jak złych duchów się boję. Zobaczyłem bilaka, tom umykał z drogi jak zając, co tchu starczyło, w las, w krzaki, byle dalej. I nie tylko ja, wszyscy bali się bilaków, bo źle, widzisz, wtedy mówili o nich: mówili, że rogi mają, że ludzi biją i inne różności.

A gdym, dowiedziawszy się, że wieści te z miasta przynieszone były, zaczął wyrzucać staruszkowi łatwo-

¹⁾ Najdosłowniej — pisarzem wiejskim.

²⁾ Pisarzem gminnym. Od słów *nasleg* i *ulus*. Kilka rodów jakuckich tworzy we wzgiedzie administracyjnym najniższą jednostkę — *nasleg*. Kilka *naslegów* tworzy *ulus*.

³⁾ *Ulochan tojon* — Ulochan tojon — wielki pan, tak jakuci tytułują miejscowego gubernatora.

⁴⁾ *Argy* — wódka.

⁵⁾ *Sach* — Jakut, tak Jakuci siebie nazywają.

¹⁾ *Ohonior* — dosłownie starzec, właściwie jednak nazwa zaszczytna, wyrażająca głęboki szacunek dla ludzi wiekowych.

²⁾ *Tojon* — pan.

³⁾ *Niucz* — Rosyanin.

⁴⁾ *Bilak* — Polak. Dźwięku p niema w języku Jakuckim.

⁵⁾ Polak, Polak? Doskonale, bracie!

⁶⁾ *Suruksut* — umiejący pisać, pisarz.

wierność zbyteczną w przyjmowaniu baśni bezzasadnych, niesprawdzonych, ohonior oburzył się na mnie prawdziwie.

— Bój się Boga, czyż moglibyśmy tak na słowo puste uwierzyć temu wszystkiemu, co wtedy gadali?! Jak tam już inni gdzieindziej tego nie wiem, ale i ja, i ci, którzy tu w okolicy mieszkali, wierzyliśmy, bo od ojców słyszeliśmy, że *bilak* każdy — człowiek straszny i niebezpieczny.

— A było to ot, z czego. — Starzec popił z czarunu, pyknął z fajki kilkakrotnie i tak ciągnął dalej:

— Ojca mego jeszcze na świecie nie było i dziadek mój był chłopcem jeszcze młodym, bo dopiero *katym*¹⁾ dla niego zbierać zaczęto, gdy tu zjawił się bilak z lodowatemi oczami²⁾, brodą dużą i wąsami ogromnymi i zamieszkał stąd niezbyt daleko, tylko nie tu w dolinie, ale tam, wysoko, na górze. A była tam wtedy tajga do dzisiejszej wcale niepodobna, zwarta, gęsta, toporem jeszcze nigdzie nie tknięta. W tajdze tej jurta stała opuszczona i jurtę tę zajął ów bilak. Ale jak tylko on tam osiadł, tajga wokół na *kiesę*³⁾ dobrą stała się dla ludzi niedostępną. Bilak po tajdze ze strzelbą chodzi i jak tylko człowieka zobaczy, choćby to i kozak był nawet, bierze na cel, i jeżeli ten nie ucieka, strzela nie na żarty, ale prawdziwie. Z czego i jak on żył? duchy to wiedzą leśne, bo co z ludzi, to nikt tego nie widział. Uciekali od niego wszyscy, jak od *prokazy*⁴⁾. Ci tylko, co go widywali, jak chodził po tajdze do złego podobny, powiadali, że chodził z początku w ubraniu, podobnem do ubrania tojonów i suruksutów ruskich, ale później to już chodził w skórach, które widać już sam sobie zesztywniał. I powiadali ci ludzie także, że coraz straszliwszy, coraz dzikszy się stawał; broda do pasa mu urosła, twarz coraz bielszą się robiła, a oczy — to płomieniem

¹⁾ *Katymem* zowie się zapłata za żonę, zwykle w naturze, t. j. bydłem i końmi wypłacana. Zbierać zaczyna się wcześniej, żeby, gdy chłopiec dorośnie, miał za co dostać żonę.

²⁾ Tak ludność jakucka, jako czarnooka, nazywa nieraz oczy jasne.

³⁾ *Kiesa* — miara jakucka, równa się 7—10 wiorstom.

⁴⁾ *Prokaza* — po polsku trąd, *lepra borealis* — choroba zaraźliwa; chorych pomieszcza w osobnych jurtach.

gorzały. Tak upłynęło lat kilka. Ale w środku zimy jakoś, w czasie mrozów największych zdarzyło się, że *chijus*¹⁾ rozsroził się zabójczy i w ciągu dni kilku nikt go nie widział; a że zwykle codziennie pokazywał się komuś z daleka, więc dał no znać do miasta, aby dowiedzieli się, czy co złego z nim się nie zrobiło. Przyjechali, wchodzą ostrożnie — a bilak leży na łożku w śwych skórach, cały szronem śnieżnym okryty i tylko w rękę krzyżyk mały ściska.

— Bilak był nieżywy. Może z głodu umarł, może zmarł, a może i tak wziął go szatan do siebie? Osądź, że sam teraz, czy po tem wszystkim słusznie czy nie baliśmy się bilaków? Przed tamtym, przed jednym wszyscy uciekali, a tu odrazu tak dużo ich najechało!

— He, he, he! Chociaż suruksut, ale młody jesteś, mój bracie, więc myślałeś, że ludzie bez przyczyny co robią? Wiedźże o tem, żeś się omylił; nie taki *sachà* głupi, jak ci się wydało!

Podanie o bilaku, który nie znośił nawet widoku człowieka, podanie następnie jeszcze w Jakucku z kilku ust mi powtórzone, wywarło wtedy na mnie silne wrażenie. Więc tu może po tych gajach i łąkach, po których dziś chodzę, biegał kiedyś z bólu wielkiego oszalały i zdziczały człowiek? Czy cierpienia jego były tak wielkie, czy dusza jego na złość i nędzę ludzką tak czuła i wrażliwa? Czy może rozłaka ze swą ziemią, z ludźmi sercu drogimi, tak złamała nieszczęśliwego? Opanowany myślami podobnemi, wracałem do miasta, nie patrząc już na nic; szedłem prędko, biegłem prawie i biegłem tak, dopókim nie usłyszał krzyku przeciągłego i niezbyt oddalonego:

— *Kaàl arè, kaàl!*

Z początku jak krzyku samego tak i tego skąd on pochodzi — nie rozumiałem; gdy jednak coraz wyraźniej powtarzać się zaczęło *Kaàl arè, kal, dahòr!* zrozu-

¹⁾ *Chijusem* nazywa się wiatr, gdy powieje w czasie wielkich 40-o stopniowych mrozów. Wiatr taki, choćby najslabszy, potęguje do najwyższego stopnia wielkie zimno, które wtedy staje się wprost zabójczem.

miałem: z za gaju, a raczej niewielkich krzaków, przede mną leżących, wołał ktoś po jakucku: Chodź tu, chodź, bracie!

Idąc przez zarośla, domyśliłem się nawet, kto to krzyczy. Ani Jakut, ani Rosyanin, czy to tutejszy, czy przyjezdny, nigdy tak nie przekręci słów, które czysto po jakucku wymówione, brzmieć powinny: *Kel erè, dohòr*.

Taką samowolą względem dźwięcznej mowy jakuckiej odznaczają się tylko nasze Mazury. Przez cały czas mego pobytu w Jakucku nie spotkałem chłopą Mazurą, któryby słów powyższych nie przekręcił, nie przerobił z mazowiecką; jakby za znową wszyscy zawsze wymawiali: *Kal arè*.

Rzeczywiście, tuż za krzakami, za mostem, przeruconym przez wąskie jezioro czy też zamuloną odnogę Leny, stał człowiek w zwykłym ubraniu *posieleńca*¹⁾ i żywo wymachując rękami, w lewo od drogi zwrócony wykrzykiwał uparcie swoje: *Kaal arè, kaal dahòr*!

Wykrzykiwał zaś tak do Jakuta, widniejącego na skraju zarośli, po drugiej stronie wody leżących, wołał jednak napróżno, bo podejrzliwy Jakut ani myślał podchodzić. Przekonał się widać o tem ostatecznie i sam wołający, bo, gdy już był około samego mostu, krzyknawszy mu jeszcze raz: *Kaal arè*, psiakrew! przestał wołać, klnąc go tylko półgłosem: „a zebyś penk, psia paro! a zebyś spuch, psi synu!”

Zobaczywszy mnie, umilkł, ale gdy zwrócił się z nim i przywitał go „pochwalonym“, chłop aż przysiadł ze zdziwienia:

O Jezusie! a z kiela pon bandzie?

Zaznajomiliśmy się prędko. Chłop mieszkał gdzieś w utorze jakuckim i przyszedł do miasta, aby się nająć na robotę do kopalni złota; najął się i iść tam miał wkrótce, jako poganiacz przy partyi bydła. Bydło to pasł on tu obecnie, a ponieważ rozbiegło mu się ono w różne strony, i sam jeden w żaden sposób nie mógł weгнаć na most rozbrykanego stada, czekał więc, czy nie nadejdzie kto i nie pomoże mu trochę; w tym to celu wołał on właśnie Jakuta. Naturalnie, chętnie pomógł mu i, gdy stado, przepędzone przez most, już

1) Deportowanego, t. j. zesłańca.

spokojnie szło dalej, idąc razem, gawędziliśmy sobie po drodze.

Z rozmowy jakoś wypadło, że zapytałem go, u kogo zatrzymał się po przyjeździe do miasta.

— Ano u Kowalskiego.

Znałem w Jakucku wszystkich Polaków, o żadnym jednak Kowalskim nie słyszałem.

— Ano u tygo stolarza Kowalskiego!

Ale i o stolarzu nie słyszałem.

— Z kimże on tu zna się, do kogo chodzi? — pytać zacząłem.

— Adyć to cudok taki, to wszyscy go tu znajom, no, a co som to do nikogoj nie chodzi.

— Jakto do nikogo?

— A jakże ma chodzić, kiedy ma nogi „jak stępory cyste“ bez paliców wcale, do idnego pooblatały. No to jeszcze, jak mu się nie rani, pół biedy, ale jak mu te rany pootwierajom się, to już po izbie łązić nie może.

— Z czegóż on się utrzymuje?

— Ze stolarki potrochu; warsztat ma piękny i naczynia różnego dość takóž, tylo, że powiadom, jak ustać na nogach nie może, no, to już i stolarka nie idzie. Wtedy to lubi bardzo, jak kto przyjdzie i ściotkę obstaluje, tyż piękne ściotki robi i do pokojów, i do ubrań choćby, tylo, że tu pokojów takich niewiele, co by ściotkami zamiatać, a i wedle ubrań, tyż rzadko kto czyszczone nosi. Tera, widzę, znowu zaniemóg.

— A nie wiecie, skąd on jest? czy dawno już tu?

— Dawno, toć dawno, bo jeszcze ponoć i naszych tu tak dużo nie było, a on już był tutaj, ale co do tego, skąd on, kto on taki, no, to prawdziwie, widno, pan go nie zna, bo żeby to pan znał, toby nie dopytywał mnie o to.

— Widzi pan, nie tylo mnie, ale choćby i z panów komu, choćby i księdzu, co z Irkucka¹⁾ przyjeżdża, jeśli

1) Wszyscy katolicy, mieszkający w Jakucku i całej ziemi jakuckiej, należą do parafii irkuckiej, a ponieważ Irkuck jest odległy od Jakucka o 3,000 wiorst, to chociaż ksiądz dojeżdża tu niekiedy dla spowiedzi, chrztów i ślubów, bywa to jednak bardzo rzadko, co rok, czasem co 2, co 3 lub i co 4 lata.

go o to pytam, zawdy on jedno powiada: „Mój bracie — mówi — sam Bóg wie dobrze, skąd ja i kto jestem, a sensu z tego niema nijakiego, nie będzie tyż z tego niczegoj, kiedy i ty się o tem dowiesz“. Ot, ma pan! więcej nikt się od niego nigdy nie dopytał.

Pomimo to dokładnie wywiedziałem się od pastucha, gdzie mieszka Kowalski. Chociaż bowiem nie zdawałem sobie z tego sprawy dokładnej, dlaczego wówczas tak myślałem, opowieść o bilaku, uciekającym od ludzi, i wiadomość o stolarzu kalece, także kryjącym się przed nimi, odrazu związały się w mym umyśle w jedną całość. Czułem, że pomiędzy nimi zachodzi tajemniczy związek, że wszystkie rzeczy na świecie, powtarzając się czasów kolejną, są zawsze do oglądania na ziemi, że więc być może, i cierpienie wielkie, o którym myślałem przed chwilą, że skończyło się wraz ze śmiercią bilaka, znajduje się tuż obok mnie oddawna, zmienione tylko może, ale nie mniejsze, również wielkie i ciężkie, również bolesne dla dotkniętego.

Odtąd codziennie prawie skierowywałem swe kroki ku jurcie, w której mieszkał Kowalski. Strużki stare, leżące około drzwi i okienek niewielkich, zawsze wystawionych ze strony słonecznej, nie odświeżały się nowymi. Czerniały one z dniem każdym, schły coraz więcej, jak czerniał i sechł może i ten, kto zestrugał je niegdyś.

I brakło mi odwagi wejść do stolarza. I znowu z niecierpliwością czekałem dnia następnego, czy nie zobaczę strużek świeżych, ale ani strużek, ani stuku roboty z wewnątrz nie było słychać.

Postanowiłem nareszcie nie zwlekać dłużej. Z zamiarem tym wyszedłem z domu i dochodziłem już do węgła jurty, gdy z wewnątrz tejże rozległ się drżący i słaby, ale dźwięczny i sympatyczny śpiew.

Usiadłem na przyzbie około jurty i przez okna wystawione słyszeć mogłem każde słowo pieśni sentymentalnej¹⁾ trochę, ale smętnej i rzewnej, dość rozpowszechnionej u nas w piątym dziesiątku bieżącego stulecia:

1) Sentymentalny znaczy to samo co uczuciowy, zwykle jednak używa się w znaczeniu: zbyt czuły.

Gdy się pola zazielenią
I wiosna wszystko ożywi i t. d.

Jeszcze smętniej brzmiała druga strofka:

Lecz kto cierpi w głębi duszy,
Komu płynie łza żałosna,
Tego słowik nie poruszy,
Temu życia nie da wiosna. —
Ten spokojnej chwili nie ma,
Rok mu się w pory nie zmienia,
Niemasz wiosny, gdzie — cierpienia,
W tęsknem sercu — ciągnie zima.

Po krótkiej przerwie zaczęła się i trzecia strofka:

Kto najdroższą matkę traci,
A z nią wszystkie swe nadzieje,
Kto patrzy na łyżę współbraci...

Ale tu śpiew urwał się nagle i głos surowy „Piesiu, — zawołał — piesiu, idź, nawymyślaj Panu Bogu, nawymyślaj mu dobrze.“

Z początku nie zrozumiałem tego dziwnego rozkazu, ale gdy po chwili usłyszałem na dworze cienie ujadanie psa, ponieważ brama, z ulicy na podwórze wiodąca, była otwarta, wstałem więc i przechodząc koło niej, przystanąłem na chwilę. Przed drzwiami jurty, otwartymi na oścież, piesek mały, czarny i lekki, stając co chwila na zadnie łapki, skacząc i kręcąc się zapalczywie, czekał i skomlił ku górze, ku pięknemu, pogodnemu niebu. Naturalnie, przeszedłem dalej, znowu odkładając zaznajomienie się z Kowalskim do chwili stosowniejszej.

Zobaczyłem go nareszcie. Wzrostu trochę więcej niż średniego, siwy już był zupełnie i nędzny bardzo. Cera ziemista, którą odznacza się większość deportowanych w Syberyi, rozwinęła się u Kowalskiego do najwyższego stopnia, i aż przykro było patrzeć na tę twarz żółtą i czarną zarazem.

Gdyby nie to, że mówił on i ruszał się, trudno byłoby, szczególnie z daleka, poznać, że to człowiek żywy jeszcze. A jednak pomimo to z oczu wielkich, szerokimi, czarnymi kręgami okolonych, wylatały czasami blaski silne, znamionujące, że wewnątrz ów trup chodzący nie obumarł zupełnie, że żyje i czuje on jeszcze.

Gdy siedział, można nawet było po pewnym czasie przyzwyczaić się do tej twarzy cierpiącej, ale ile razy wstał, odwracać się musiałem: te nogi, do „stęporów“ podobne, zdawało się przy każdym stąpieniu sprawiają mu ból wielki.

Kowalski mówił po polsku czysto i poprawnie. W rozmowach swych unikał starannie wszystkiego, co mogłoby choć z daleka, choć pośrednio dotyczyć jego przeszłości; również starannie unikał wszelkich pytań o kraju. Zajęty był wyłącznie teraźniejszością i psem swym, z którym ciągle rozmawiał. W czasie tych kilku tygodni, w ciągu których odwiedzałem go, raz tylko, gdym wspomniał coś o Płockiem, oczy jego błysnęły życiem wewnętrznym, i Kowalski żywiej zapytał: „To pan zna Płockie?“

A gdym odpowiedział, że bawiłem tam rok cały, mówił mi to do siebie, ni to do mnie:

— Wszystko tam zmienić się musiało, bo to przecie czasu już tyle upłynęło! Zapewne pana na świecie jeszcze nie było, kiedy ja już do Syberyi się dostatek. A w których stronach Płockiego był pan?

— Około Raciąży.

Usta otworzył, ale czy to sam spostrzegł się, że za dużo mówić zaczyna, czy może dostrzegł, że ja zbyt pilnie słuchać zacząłem, dość, że usta już otwarte złożył w „taak“ długie i ciche, i umilkł.

Była to jedyna wskazówka, którą mi dał o sobie. Pytać chciałem i pytałbym jednak dalej, ale i od tego ochronił się delikatnie: psa zawołał i, głaszcząc go pieszczotliwie wyrzekł doń pocichu: „Idź, nawymyślaj Panu Bogu!“ I długo pies posłuszny czekał ku niebu, a jeżeli Kowalski wydawał podobne zlecenie, znak to był niechybny, że o sobie słowa już z ust nie wypuści. Tylko o psie swym w takich razach zwykł był mówić i wiele, i chętnie.

Pies ten, jakkolwiek niczem szczególnem nie odznaczał się wcale, wyróżniał się jednak z pomiędzy swych współbraci jakuckich pod wielu względami. Wyróżniało go z pomiędzy nich przedewszystkiem to, że chociaż był psem kochanym, miał dom i pana, nie miał nazwiska, zwał się bowiem psem lub piesiem zwykłe.

— Dlaczegoż mu pan nazwiska nie dał? — zapytałem jakoś Kowalskiego.

— A nacóż mu nazwisko? Gdyby ludzie nazwisk różnych nie powymyślali sobie, a ludźmi zwali się po prostu, może lepiejby o tem pamiętali, że ludźmi i w życiu być powinni.

Był więc pies bez nazwiska. Był on nadzwyczaj lekki, zwinny i wąty, do krępych, mocnych, gęstym i długim włosem obrośniętych psów miejscowych zupełnie niepodobny; sierść jego była krótka, miękka i jak jedwab lśniąca. To też wskutek tej swej odrębności zewnętrznej wiódł on tu życie samotne i opuszczone. Kilkakrotne próby wzięcia żywszego udziału w psim życiu tutejszem skończyły się zupełnem niepowodzeniem. Pies wracał zawsze z prób tych tak pokąsany i zbiedzony, że po kilku niepomysłnych usiłowaniach skwitował ze swych instynktów towarzyskich i nie opuszczał już nigdy własnego podwórza.

Był on za to nad swój wąty organizm poważny i powaga ta nie licowała zupełnie z jego cienką i ruchliwą figurką; nie była ona spokojną, podobną do powagi psa sensata, krótkiego lub długiego, ale grubego i mocnego. W oczach piesia widniała gorycz i nienawiść ku wielkim i mocnym stworzeniom, nie umiejącym uszanować praw słabszego. Okrom jak panu, ogon jego nikomu nie okazywał swej przychylności, łask postronnych, nie rozumiał, nie wierzył w nie może i odpowiadał na nie głuchem warczeniem.

Kilka tygodni upłynęło od czasu, jak zaznajomiłem się z Kowalskim, i w zdrowiu jego nie zaszła żadna zmiana na lepsze; przeciwnie, słabł on z dniem każdym, i wszyscy my, cośmy odwiedzali go teraz, przekonaliśmy się, że choroba ta jest już ostatnim aktem jego życia na ziemi. Czy Kowalski wiedział o tem, Bóg to wie, ale wiedział zapewne, przeczuwał może koniec blizki, bo mówił prawie zupełnie przestał.

Po kilku dniach, w ciągu których chory uporczywie toczył ostatnią walkę ze zwalczającą go niemocą i jeszcze chodził po swej jurcie, a nawet dłubał coś około paru szczotek, niedawno zaczętych, ustąpił naresz-

cie i położył się do łóżka. Nie pamiętam już dziś dobrze kiedy, ale wkrótce jakoś potem, rano, tylko com usiadł do herbaty, gdy podszedł do mego okna ślusarz. Władysław Piotrowski, najbliższy w Jakucku znajomy Kowalskiego, i zapytał, czy nie mogę teraz pójść z nim do chorego, który dziś ma się źle bardzo.

— Może umrze spokojniej, gdy widzieć będzie, że nie jest zupełnie opuszczony — objaśniał mnie pocztowiec — a może też pan weźmie i książkę jaką?—dodał jeszcze na końcu.

Książki stosownej nie miałem, wziąłem więc z sobą Nowy Testament i wyszedłem natychmiast.

— Czy już tak źle z nim? — zapytałem po drodze.

— Myślę, że źle, bo szerniał zupełnie, a i sam mówił, że dziś już umrze napewno.

Jurta Kowalskiego była niedaleko ode mnie, i po chwili byliśmy na miejscu. W jurcie nie było zwykłego przy ciężko chorych zapachu lekarstw, bo Kowalski ani doktora, ani lekarstw żadnych przyjąć nie chciał. Smutno tu było tylko, jak w pustkowiu jakim: piesio skulony leżał pod łóżkiem, a około łóżka samego, pomimo okienek wystawionych i drzwi otwartych, przykry za pach ciężko chorego człowieka przypominał, że człowiek, na niem leżący, nie wstanie już więcej.

I człowiek ten, rzeczywiście, był już tak niepodobny do żywego, że gdyśmy weszli, a zobaczyli jego oczy zamknięte, sądziliśmy, że umarł już, być może. Władysław podszedł do łóżka i wsunawszy rękę pod kołdrę, dotknął nóg jego. Nogi zimne były zupełnie; ale zaledwie ślusarz ruszył z powątpiewaniem ramionami, „żyję, żyję, żyję jeszcze — odezwał się Kowalski tak głośno i dobitnie, jak nigdy jeszcze dotąd nie słyszałem — żyję, — zaczął znowu — i dobrze, żeście przyszli, chcę pomówić z wami przed śmiercią“.

Żywość i gorączkowość, z jaką Kowalski to wypowiedział, jeszcze bardziej utwierdziły nas w przekonaniu, że przyszliśmy w czasie właściwym; spojrzeliśmy więc po sobie, ale chory dostrzegł to spojrzenie i zrozumiał je.

— Wiem i ja, — odezwał się zaraz — że umrę prędko, nie skryjecie więc przede mną tego, co jest mi otwartem; powiedziałem wam, że chcę mówić z wami, wiem więc, że umrę niedługo, inaczej nie mówiłbym

bowiem. Bałem się, że nikt nie przyjdzie... bałem się, że nikt już mnie nie usłyszy... i że ten, co go Bogiem nazywacie miłosiernym, zdąży odjąć mi mowę... Dzięki więc wam za opiekę, obyście i wy, gdy konać będziecie, życiem nieszczęśliwym, jak ja, zgnębieni, nie konali opuszczeni...

Kowalski umilkł i tylko czoło, sfałdowane w zmarszczki podłużne, to zbiegające się bliżej i głębsze, to zmniejszające się znowu, wskazywało, że umierający wysiłkiem ostatnim skupia myśl ulatującą, wołą silną, zatrzymuje wybiegające zeń życie.

Rano jeszcze było, i słońce przez okna, wychodzące ku wschodowi na brzeg rzeki, rzucało na ścianę, obok której stało łóżko chorego, dwa ogromne snopy swych promieni złocistych. Z łąk, rozległych, z całego archipelagu wysp, bujną roślinnością okrytych, zewsząd życie tryskało i odgłosy tego życia, echa tego ruchu żywego, wywołanego światłem potężnym, dzwiecząc pieśnią melodyjną, składając się w cały hymn dziękczynny, dochodziły aż tu, do łóża konającego, tworząc z tem, co się w jurcie znajdowało, kontrast¹⁾ rażący.

Ironią²⁾ gorzką, urągowskim świętokradzkim wydawały się owe promienie słoneczne, owo życie, pieśnią radosną rozbrzmiewające, wobec łóża tego nędzarza, tego trupa żywego...

* * *

— Dawno już bardzo, lat pewno ze czterdzieści temu — zaczął tymczasem Kowalski — dostałem się do stepów orenburskich³⁾; młody wtedy byłem i silny; ufałem Bogu, ufałem ludziom i sobie. Słusznie czy nie, dość, że sądziłem, iż nie mam prawa pozostawiać swych sił na łasce losu, lecz winienem sobie wynaleźć pole do działania szersze, niż to, które tam znaleźć się mogło. Tęsknota za krajem popychała także, i po dwuletnim pobycie uciekłem stamtąd...

1) Kontrast znaczy sprzeczność.

2) Ironia znaczy tu szyderstwo.

3) Stepów orenburskich znajdują się na granicy pomiędzy Rosją europejską i Syberyą.

— Dostałem się za to dalej — do tomskiej gubernii, ale nie upadłem na duchu. Zabrałem się do roboty z energią, chleb i woda były pokarmem moim; uciulałem nareszcie grosza, ile potrzeba było, i znowu wyruszyłem w drogę...

— Za tę powtórna ucieczkę, jako recydywista uparty, odpokutowałem dłużej i dopiero po latach kilku ruszyłem odwrotnie, ale teraz jeszcze dalej.

— Zima była niezwykle surowa, byłem bez grosza, bez odzieży; odmroziłem wtedy nogi i wszystkie palce straciłem. Była to klęska dla mnie, tembardziej, że wypadło mi zamieszkać aż za Jenisiejskiem¹⁾.

— Ciężej mi teraz było, miejscowość była głucha i bezludna, i o zarobki jakiegokolwiek dość trudno także, chociaż jednak okaleczony utratą palców, wyuczyłem się rzemiosł kilku i jeżeli nie z jednego, to z drugiego dochód miałem, wprawdzie niewielki, lecz stały.

— Sześć lat przygotowywałem się teraz i, nie bacząc na swe nogi, po raz trzeci wyruszyłem w drogę.

— Widzicie, w siły swe już nie wierzyłem; chory byłem i złamany, więc ciągnęło mnie na zachód już nie to, co poprzednio. Umrzeć tam chciałem, a już jak o szczęściu, marzyłem o śmierci na grobie matki.

— Życie moje takim było, że nikogo oprócz tej matki nie miałem na ziemi: nie miałem kochanki, nie miałem żony, nie miałem dzieci. Od nikogo więcej, od niej jednej tylko doznałem łaski na świecie.

— To też, gdy uczułem się opuszczonym, bezsilnym, zatęskniłem do grobu tej jedynej kochającej mnie istoty...

— Wśród nocy bezsennych czułem jej rękę, obejmującą mą głowę, jej pocałunek i jej łzy gorące, które mi raz ostatni mnie żegnała, przeczuwając może wieczną rozłąkę. Dziś nie wiem, do kraju czy do niej więcej tęskniłem.

— Ale ciężka to już droga była dla mnie: iść przedko nie mogłem, rany w nogach otwierały się ciągle. Jak zwierzę dziki tygodnie całe w tajdze kryć się musiałem. Nieraz w puszczy zapadłej sępy i kruki, czując

¹⁾ Jenisiejsk leży już we wschodniej Syberii.

zer pewny¹⁾, zwiastowały mi śmierć bliską; nieraz, głodem wycieńczony, padałem bez sił zupełnie i... niebaczny... zawsze wzywałem ku niebu: błagałem Boga wszechmogącego, Boga miłosiernego, Boga sprawiedliwego, Boga nędzarzy, Boga opuszczonych: ratuj! zlituj się nade mną, Ojczy miłościwy! Daj śmierć, o nic więcej, o śmierć tę jak o łaskę proszę, sam ją zadam sobie, ale daj *tam*...

— Dwa lata zeszło, zanim doszedłem do permskiej gubernii. Tak daleko przedtem nigdy jeszcze nie chodziłem. Już serce biło mi radośnie, myśl jak u szalonego kołowała w głowie... myśl jedna: ujrzę ją, zobaczę ziemię rodzoną i umrę na grobie ukochanej. I gdy przeszedł na tamtą stronę Uralu, uwierzyłem w zbawienie swoje, padłem na ziemię i nieprzytomny długo, długo szlochałem, dziękując Bogu za łaskę, za miłosierdzie Jego. A On, miłosierny, gotował mi cios ostatni i tegoż samego dnia.

— Dostałem się wtedy do Jakucka.

— Dlaczego tu żył w nędzy aż dotąd, dlaczego tu czekał na koniec taki?

— Dlatego, że wiedzieć chciałem, co Bóg ten ze mną zrobi.

— Z człowiekiem, który mu wierzył z ufnością dziecięcą; który nigdy nie zaznał szczęścia na ziemi i szczęścia tego nie pragnął; który nie zaznał łaski ludzkiej oprócz łaski matki; który okaleczony, pracował do końca życia swego; który nigdy ręki nie wyciągał, nie kradł, nie pożądał, nie zabijał, mając dwa—oba oddawał: widziacie, co zrobił...

— Więc nienawidzę Go... nie wierzę Mu... nie wierzę świętemu Jego, nie wierzę w sąd Jego, nie wierzę w sprawiedliwość Jego, i słuchajcie mnie, bracia! za świadki was biorę w śmierci godzinie, abyście i tu wiedzieli, i tam, gdy wrócicie, świadczyć mogli... — i podniósłszy się gwałtownie i ręce ku słońcu wyciągając, zawołał głosem wielkim:

¹⁾ Uciekający z Syberii wierzą, że jeżeli nad uciekającym w tajdze zgromadzić się zaczną ptaki drapieżne, śmierć uciekającego jest bliską, i nic go już ocalić nie może.

— Ja, nędzarz konający, rzucam Ci w oczy, żeś Ty Bóg sytych, żeś Ty Bóg podłych, żeś Ty Bóg plu-gawych, żeś krzywdził mnie niewinnie! . . .

I w oświeceniu słońca jasnego, co wzniosłszy się wyżej, złościło teraz promieniami swemi owo łoże łazar-zowe, okropnie wyglądał ten kościotrup żywy, skórą obwisłą powleczoney . . .

I gdy upadł wycieńczony, przerażeni sądziliśmy, że umrze on natychmiast, a my niczem mu pomódz, ni-czem ulżyć nie mogliśmy.

— Módlmy się za niego — wyszeptał slusarz nareszcie.

Ukłękliśmy obaj; drżącą ręką wyjąłem przyniesioną książkę i otworzyłem ją; i otworzyła się książka w miejscu, niegdyś założonem, na ewangelii św. Jana, roz-dziale XV.

— Jam jest winna macica prawdziwa, a Ojciec mój jest winogradnikiem — głośno czytać zacząłem.

Piers konającego wznosiła się gwałtownie oczy zam-knięte były.

A słońce zalewało go całym światłem swoim i jak gdyby chcąc mu wynagrodzić w ostatniej chwili życie ciężkie, tuląc się doń miłośnie, ogrzewając zastygające ciało, zdawało się, uspokaja go i całuje promieniami złocistymi, jak matka całuje dziecię zasypiające i kap-ryśne i uspokaja je swem ciepłem, swą obecnością.

Konający żył jeszcze.

I gdym czytał dalej pełne siły, wiary i ufności głę-bokiej słowa Chrystusowe:

— „Jeśliż was świat nienawidzi, wiedzcież, iż mnie pierwiej niż was znienawidził“ — i natchnione słowa nauczyciela cierpiących, i pieszczota światła ożywczego ukoili konającego; oczy jego otworzyły się, i z oczu tych wypłynęły dwie łzy wielkie, dwie łzy ostatnie, co się w tym człowieku ostały.

I słońce promieniami swymi dotknęło łez tych, na twarzy szerniałej stojących, i oświecając je światłem niebieskiem, zda się pokazywało Bogu owe ognie wew-nętrzne, barwami czystymi iskrzące, a we łzach tych ostatnich skupione, ognie, co życie to spaliły . . .

A gdym przeczytał jeszcze:

— Zaprawdę, zaprawdę wam powiadam, iż wy bę-dziecie płakać i narzekać, a świat się będzie weselił; a wy się smucić będziecie, ale smutek wasz w radość się obróci . . .

Konający spróbował podnieść ręce, ale gdy opadły one bezwładnie, cicho i wyraźnie wymówił:

— Przez mękę Twoją, daruj mi, Panie!

Czytać dalej nie mogłem.

Kłęczeliśmy w milczeniu, a piesio zdziwiony stał pomiędzy nami, panu się swemu przyglądając.

I gdy zwróciło się ku nam oko konającego, usta jego jeszcze raz otworzyły się i usłyszeliśmy jeszcze wolniej, jeszcze ciszej wypowiedziane słowa:

— Piesiu, *nie* wymyślaj Panu Bogu.

Zwierzę pocziwe, skowycząc załosnie, skoczyło ku zwisłej ręce pana swego, ale ręka ta była już bezwładną.

Oczy jego zamknęły się, z ust wydobyło się rzę-żenie krótkie i stłumione; pierś opadła; ciało wyprę-żyło się zlekka, i człowiek, który wiele wycierpiał — przestał cierpieć.

. . . I dopiero wtedy, gdyśmy oprzytomnieli, usły-szeliśmy zapamiętałe szczekanie piesia przede drzwiami. Napróżno staraliśmy się go uspokoić; nie odbierając nigdy rozkazów podobnych do ostatniego, piesio nie zrozumiał pana swego i spełniał teraz sumiennie to, co tak długo było jego obowiązkiem. Szczekał, ujadął i przybiegał do łóżka, do ręki sztywnej, oczekując zwyk-łej pochwały.

Milczał jednak pan jego, nieruchomo leżała ręka zimna, i piesio zmęczony, zziąjany i ochryply, biegł znowu przede drzwiami.

Wyszliśmy, ale daleko już będąc od jurty, dokład-nie jeszcze słyszeliśmy urywane ujadanie nierozumnego piesia.

W kwietniu 1886 r.

Dwie modlitwy.

I.

Dawno, bardzo dawno temu — naturalnie, dla mnie tylko, gdyż dziś jak przeze mgłę pamiętam te czasy — w jednej z największych świątyń Podlasia, usłyszałem do raz pierwszy w mem życiu harmonijny i potężny śpiew chóralny mężki. Świątynia, napelniona zbitą masą ludu; pieśni, spływającej z choru lawiną palącą, wtórowała głosem wielkim, przechodzącym w łkanie, zamierające w cichym, coraz cichszym, wreszcie ledwie słyszalnym jęku błagalnym.

Drobne ciało moje drżało jak w febrze, rozpalone czoło przykładam do zimnej podłogi, i składając i wyciągając ręce do Boga, prosiłem Go, żeby ucił ten jęk, rwący me serce dziecinne, żeby ci ludzie na chórze nie śpiewali tak żałośnie, żeby im weselej i radośniej było na świecie. „Zmiłuj się, zmiłuj, Panie“, powtarzałem z taką wiarą i ufnością, że po każdym wezwaniu mojem z zatajonym oddechem oczekiwałem, że, ot, ot, zagrzmi głos do pioruna podobny i głuszac modły błagalne, uciszy jęki bolesne i radosna pieśń Narodzenia, tryumfujące „Alleluja!“ Wielkiej Nocy balsamem spłynie z chóru na tłumy modlących się ludzi.

Już zamilkły ostatnie jęki; ostatnie westchnienie tyśiąca piersi echem stłumionem z pod wysokich sklepień spada na głowy modlących się, przygniatając je ciężarem ogólnego bólu; zgięte do ziemi, korne postacie unicestwiają się prawie; głów ludzkich nie widać w świątyni, tylko oczu tysiące z głów tych wpijają się w obraz Boga i zanoszą ostatnią niemą prośbę do Niego.

Najśabsze echa modłów i westchnień ludzkich giną w głębokich sklepieniach i cisza straszna, cisza grobowa

zda się, zapanuje w świątyni, i wiernych tysiące, ich jęki i prośby, staną przed próżnią, rozplyną się w nicestwie... zginą... niesłyszane...

Strasznej tej chwili boi się człowiek i kojącymi dźwiękami muzyki podtrzymuje swe słabe siły; milczą więc usta zaciśnięte, zgniecionej piersi nie wznosi już westchnienie, ale tam... w górze... rozlegają się miękkie, łagodne dźwięki i falując wśród sklepień wysokich, tłumione oddechami ludzkimi, schodzą na dół do głosów żywych podobne.

I jęczy i płacze metal martwy pod ożywcem dotknięciem palca ludzkiego, i w dźwięki, wydarte niegdyś z piersi silniejszej niż piersi tłumu, wsłuchuje się tłum ten, jak w swe własne, błaga i prosi z nową ufnością, i ukojony sztuką artysty, silny nową wiarą, łzy wylewa nareszcie, w łzach tych ulgę znajduje.

Na tę chwilę jak gdyby czeka chór śpiewających, bo zaledwie zjawia się na twarzach ludzkich perły niedoli człowieczej, zaledwie zajaśniają one na słońcu swą czystością nieskalaną potężna skarga bije znowu ku niebiosom, pali serca nowym płomieniem.

I znowu jęczą usta ludzkie, korzą się czoła i chylą ku ziemi ciężarem westchnień z piersi zbolatych zgniecione.

Jęczę i ja razem z niemi; modłę się jeszcze goręcej, jeszcze błagalniej wyciągam ręce do Boga surowego, jeszcze dłużej zatrzymuję oddech, oczekując cudu widomego; ale milczy Bóg, pryskają nadzieje dziecinne, a chór wzywa do nowej modlitwy, pali jeszcze silniejszym płomieniem.

— Boże mój, Boże, kiedyż się skończy ta modlitwa okrutna?

Czuję, że siły mnie opuszczają, że dłużej *tak* się modlić nie mogę. Koło mnie modli się ojciec ukochany, tulę się więc do niego; on mnie jak zawsze pocieszy... Ale ojciec, choć nachyla się ku mnie, nie widzi mnie, widocznie, bo po twarzy jego łzy płyną i ja czuję tylko i słyszę jego szept gorący.

— Modl się dziecko! modl się, jedyne, i nie zapomnij tej modlitwy wielkiej!

A chór nie widzi mnie tembardziej, i jęczy i płacze nowym bólem. Modłę się więc znowu; wszystkie swe myśli i czucia skupiam na prośbie jedynej; pot kroplisty

występuje mi na czoło, zatamowuję oddech jeszcze dłużej i czekam... czekam na próżno!... Bóg milczy, a chór zawodzi nową skargę.

Straszno mi teraz, i duszno i gorąco nadzwyczaj!

— Boże mój, Boże, czemuż nie słuchasz nas tak długo?!

Pała jak w ogniu głowa moja; śpiew chóru, dźwięki organu, jęki i westchnienia ludzkie zlewają się w uszach moich w szum chaotyczny, beładny. Szum ten przechodzi powoli w jakiś huk miarowy, z początku wolniejszy, później częstszy, z początku bliższy, później dalszy, do łopotania skrzydeł wielkich ptaków podobny; sinawy dym kadzideł czerwienieje mi w oczach i myśl, że prosby nasze nie dochodzą do Boga, jasnym promieniem oświeca moją głowę zmęczoną. Podnoszę oczy do góry i z krzykiem rzucam się do ojca.

Tam w górze, wstrzymywane wysokimi sklepieniami świątyni, jak stado ptastwa, zbierającego się do odlotu, kłębią się i huczą, prosby ludzkie; przez wąskie okna świątyni przedzierają się smugi światła słonecznego i ku nim, ku słońcu cisną się kłębami czerwonawe, krwawe, jęki i bóle człowiecze...

— Tato, tato! chodźmy modlić się... tam, do słońca, tam usłyszysz nas Bóg wielki, tam, nic nie zatrzyma prosby naszej...

II.

Zima 18... roku rozpoczęła się w X., jak w całym kraju jakuckim, niezwykle wcześnie. Już w końcu Sierpnia przymrozki zwarzyły wszelaką zieloność i poczerniałe, ogołocone ze swej krasy przyrodniej, przestrzenie wielkiej doliny, w której leży miasto, przedstawiały się teraz oku człowieka niezwykle ubogo.

Nędzne jurty, zadnych budynków, nic podobnego choćby zdaleka do ludnej i tak wesołej na jesieni wsi naszej. Tęsknota do kraju w czasie tej wczesnej choć krótkiej jesieni, pierwszy raz stanęła przede mną w całej swej przerażającej grozie.

W połowie listopada zaczęły się znakomite „sorokowiki“¹⁾, często bez przerwy trwające przeszło dwa miesiące. To też choroba, której uległem, rozwijała się prędko i jeszcze na długo przed owymi „sorokowikami“ wycieńczyła mnie zupełnie. Jako nowicjusz w podobnego rodzaju sprawach, popełniałem tymczasem mnóstwo takich rzeczy, które same przez się nie będąc niedorzecznymi, przez człowieka doświadczonego są tu praktykowane w pewnej bardzo ograniczonej mierze. Wszyscy ci, którzy byli chorzy na nostalgię, starannie unikają wszystkiego, co mogłoby wywołać chorobę: niechętnie mówią o swej przeszłości, milczą uparcie, gdy rzecz zachodzi o kraju, okazują wogóle dla wszystkiego, co powinno im być drogie, dziwną, niezrozumiałą obojętność. Naturalnie obojętność ta jest pozorną. Z początku nie rozumiałem tego zjawiska. Później dopiero, gdybym pobyt tu dłużej, zrozumiałem jak rozpaczliwym pancerzem ci, na oko zupełnie zczerstwiali i zobojętniali ludzie okrywali swe piersi zbolące, z jakim wysiłkiem przedłużali swe istnienie na ziemi: zrozumiałem, że obojętność owa — to swego rodzaju heroizm, prawda, mały i niebłyszczący, jak każdy heroizm niedoli, ale zawsze heroizm.

Tym to puklerzem obojętności i pozornego zapomnienia okrywają się tu ludzie różnych stanów i kategorii; jedni czynią to z mniejszem, drudzy z większem rzeczy czynionej rozumieniem, jedni z mniejszą, drudzy z większą wytrwałością. Szczególniejszą jednak siłą woli, z ludzi pozornie zobojętniałych, bezwątpienia wyróżniają się ludzie wiejscy — chłopci.

Długo, długo trzeba krzesać, nim się iskrę z chłopca rozżalonego dobędzie; ale za to iskra ta, gdy wyleci, błysnie ci przed oczyma takim płomieniem, że aż je zakryjesz od blasku lub otworzysz z przerażeniem.

Z ciężką chorobą mocowałem się już kilka miesięcy, i dzień wigilijny zastał mnie w chwili, gdy ku wszystkiemu, co swojskie, biegłem już z tym uporem nieśczęsnym, z którym myśl pijaka biegnie ku wódce, myśl szalonego ku idei wyłącznej. List, odebrany przed kilku dniami z widocznym symbolem dnia dzisiejszego,

1) Sorokowiki — mrozy 40 stopniowe.

opłatkami, pokruszonym w drobne kawałki, dolał oliwy do ognia. List ten odczytałem niezliczoną ilość razy, i jeżeli teraz biegam z kąta w kąt swego pokoju, jak wieśniak w swym kole zamkniętą, myślałem już nie nad listem samym. Wszystką truciznę wywołanych przezeń wspomnień z gorączkowym pośpiechem, bez chwili odpoczynku, piłem w ciągu ostatnich nocy bezsennych, i wyobrażania moja, wyczerpana, zmęczona, nie szła już dalej. Dzień, który wywołał tyle wspomnień, sprawił mi tyle cierpień; nadszedł, chodziło mi o to tylko, jakby urządzić się wieczorem tak, aby wypić do dna kielich zdradliwej słodyczy, otoczyć się atmosferą, któraby choć na krótką chwilę, choć zdaleka, przypomniawszy przeszłość bezpowrotną, i podsuwając nowe, realne, choćby najgrubsze obrazy, podsycała wycieńczoną wyobraźnię, dała jej karm dla nowych widziadeł, nowych halucynacji.

W X. było wówczas parę polskich domów, prowadzonych dość otwarcie, a w jednym z nich czy też w dwóch nawet urządzano wigilię, dziś jednak być tam nie mogłem. Domyślić się łatwo, że dziś chciałem się wyrwać z dusznych ramek konwencyonalizmu i poza granicami „towarzystwa” spędzić wieczór wigilijny.

* * *

Jeżeli wieczorem, w czasie mrozu wielkiego, przechodząc przez puste ulice X., dojdiesz do końca ulicy Kozackiej, znajdziesz się w punkcie, z którego jak na dłoni przedstawi ci się mniejsza dzielnica miasta, oddzielona od głównego grodu, w tem właśnie miejscu starem, zamulonym łozyskiem rzeki. Im bardziej mróz ci dopiecze, z tem większą przyjemnością zatrzymasz się na tym punkcie, aby ucieszyć się widokiem, który ztąd się rozciąga. Mnóstwo jaśniejszych i bledszych, silniejszych i słabszych światełek widnieje tu zawsze, nawet przez mgławicę śnieżną. W kraju bezludnym, pustym, widok większego siedliska ludzkiego jest tak pociągający, że nie przechodziłem wtedy ani razu, aby nie nakarmić oczu tym tak widomym dowodem siły i żywotności człowieka. Znam tu już każdy dom. Najbliżej błyszczą jasnym światłem domy bogatszych kupców i urzędników, dalej podobne do jurt domy kozackie, jeszcze dalej dom szewca i dyaczka zarazem, kuźnia Jana Piętrzaka, je-

szcze dalej, ledwie widzialne z poza szczytów z lodu, błyszczą słabe światełka z jurt jakuckich i poza niemi — koniec zycia, bezbrzeżne śnieżne obszary.

O jakże zimno tam być musi! jakże opuszczonym, jak słabym czuje się człowiek samotny wśród tych obszarów, zaspanych śniegiem, błyszczących lodem, czerniejących tajgą ponurą, zięjących mrozem, mrozem i tylko mrozem!

To też pamiętam to dobrze, drgnąłem i serce uderzyło mi silniej, gdy jakoś parę tygodni temu, zatrzymawszy się jak zwykle na wzgórzu, ujrzałem po raz pierwszy, jak z pustej przestrzeni, zaczynającej się za jurtami jakuckimi, słaby, słabiutki ogień błysnął mgławicą światełkiem, znikł i pokazał się znowu. Przywidzenie czy co u Pana Boga? Nie wierzyłem oczom własnym, przetarłem je raz i drugi; ale ogień sierocy, daleki, odcięty od siedzib ludzkich, migocze coraz wyraźniej.

Długo stałem tu wówczas, nim domyśliłem się narzecz, że to straszny, wyklęty dom, dom z przestachem wymijany przez ludność miejscową, świecił ogniem samotnym. W domu tym kiedyś, przed laty, konali ludzie chorzy na ospę¹⁾, ale do dziś każdy z mieszkańców mieszkańców prędzej zmarł, niż wejdzie do tego domu. Domyślić się więc już w żaden sposób nie mogłem, ktoby tam odważył się rozniecić ogień w nocy. Przechodził właśnie Jakut jakiś koło mnie, zatrzymałem go więc, i wytłomaczywszy, jak mogłem, o co mi chodzi, zapytałem czy nie wie, z jakiego się ogień wziął w dawnym szpitalu. Jakut słuchał mnie uważnie, dopóki nie rozumiał, o co się pytam, ale jak tylko pojmovać zaczął, cofnął się o krok, dwa, trzy, a gdy następnie zrozumiał zupełnie, zdjął czapkę i wrzasnąwszy głosem nieludzkim; „Kabyś abasá!“²⁾ uciekł przerażony.

1) Ospa jest tu chorobą nierównie straszniejszą, aniżeli najstraszniejsze cholery azyatyckie u nas. W czasie epidemii ospy wymierają doszczętnie całe liczne, bo po kilkaset głów liczące rody. Ospa więc wzbudza w mieszkańcu tutejszym przestach nieopisany, i domy szpitalne po chorych na ospę z zabitymi drzwiami i oknami stoją zwykle nie zajęte. Ponieważ zaś w domach tych chorzy, właściwie rzeczy biorąc nie leczą się, lecz umierają, więc przestach, który wzbudza, jest uzasadniony.

2) „Kabyś abasá“ — idź precz szatanie. W języku jakuckim akcent pada zawsze na ostatnią sylabę.

Na drugi dzień dopiero dowiedziałem się, że w domu zadumionym kilku Polaków, ludzi bez jutra, nie mających dachu nad głową, zamieszkało na stałe. Czasami, choć nie nadługo, tulili się tu także i tacy ludzie, których losy chwilowo tylko pozbawiały właściwego przytułku.

W taki to sposób, poza miastem, w opuszczonym pustkowiu uformowała się mała kolonija, składająca się z ludzi dwóch typów: stałych i czasowych pustkowia mieszkańców. W pustkowiu tem bywałem dość często i teraz oto po dość długim namysle wigilię postanowiłem przepędzić tamże.

Okolo godziny piątej wyruszyłem z domu, zdając się na łaskę i niełaskę mrozu, który, gdyby tchnął swym zabójczym „chijusem“ wbrew wszelkim z góry ułożonym planom, mógł mnie wegnąć do najbliższego znajomego domu, ale na szczęście moje, choć mróz był piekielny, cicho było jak w grobie. Straszny „chijus“ nie wyszedł jeszcze ze swych kryjówek biegunowych i powietrze stało nieruchome, zastygłe. Dzięki tej okoliczności bez szwanku dotarłem do miejsca.

W dwóch nieopalanach pokojach, przez które przejść musiałem, abysię dostać do mieszkalnej części domu, ostro i przeraźliwie dźwięczało echo śniegu, skrzypiącego mi pod nogami; wydawało mi się nawet, że zimniej tu jest niż na dworze. Okna zabite były deskami, więc w ciemności nieprzejrzanej utykałem co chwila to na garnek rozbity, to na inne sprzęty połamane, ale choć z hałasem rozbijały się graty, głośno piszczały zardzewiałe zawiasy, nikt z będących tu ludzi nie wyjrzał nawet, nikt nie zwracał na to uwagi. Wchodzę nareszcie do mieszkania ludzkiego.

W dużym pokoju nie o wiele, jednak widniej, niż w pustych stancjach, przez które tylko co przechodziłem. Cienka łojówka na niskim warsztacie szewckim, słabo oświeca zaledwie jeden kąt pokoju. Przy warsztacie pracuje dwóch ludzi.

Siedzący bliżej wysoki i chudy mężczyzna, szewc z urodzenia niejako, wbija w podeszwę wprawną i pew-

ną ręką sztyfty drewniane. Dostał się on do miasta niedawno, ale ma już roboty dosyć i w pustkowiu napewno długo się nie zasiedzi.

Drugi, siedzący dalej, mężczyzna ze śliczną męską twarzą, znacznie niższy od p. Józefa, wyrównywa i wygładza obcas, ale powoli, bez owej szparkości, z którą pracuje p. Józef. Dość spojrzeć na twarz niższego szewca, aby, będąc najzapaleńszym przeciwnikiem wszelkich teoryj o rasowości ludzkiej, odgadnąć, że człowiek ten nie przy warsztacie siedział niegdyś.

Rzeczywiście, p. Jan Horodelski był niegdyś słuchaczem medycyny, później... ale o tem, czem on był później, i we dwa wieczory by nie opowiedzieć, teraz od lat już pięciu jest on szewcem, i powiedzmy prawdę otwarcie, szewcem-pijakiem. Nałóg jego nie pozwala mu nawet pomyśleć o zaprowadzeniu własnego warsztatu, więc też tuła się on po wszystkich warsztatach tutejszych, pracując cudzem narzędziem i ciężko mu bardzo. Za naczynie każdy właściciel pobiera znaczny procent, i nawet pan Józef nie wiele podobno odstąpił mu od ceny pobieranej przez innych majstrów.

Harda to niegdyś i rogata była dusza, ale życie starło ją i wdeptało w takie błoto, z którego wychodzą cało dusze nietylko piękne i szlachetne, ale i silne zarazem. Horodelski nie miał tej mocy, której nie gną żadne burze i był dziś stałym mieszkańcem pustkowia. Jego dni na ziemi są policzone; rozum, oświata, które posiadał niegdyś, dają mu teraz zupełną świadomość swego położenia i jaką napętniają goryczą, o tem zapewne nikt nigdy nie dowie się na ziemi.

Czy to piętno zagłady, wyryte na jego czole, czy też może inne głębsze przyczyny nadają twarzy jego szczególny wyraz. Powiedziałem wyżej, że twarz ta była piękna męską pięknośią, i dodać winienem, że tchnęła ona łagodnym, miękkim wyrazem, który jest szczytem kobiecej piękności, i napiętnowana była nieopisanym jakimś smutkiem. W obejściu był on inny trochę; i sposób wyrażania się, i maniery, często zdradzały wpływ otoczenia, w którym oddawna się znajdował; często, ale nie zawsze, mógł on jednak zapanować nad sobą i wtedy

na twarzy jego zjawiała się nowa cecha człowieczeństwa, jeszcze nie startego zupełnie: rumieniec wstydu nad położeniem swoim.

Szewcy, gdy wszedł, jak przystoi ludziom pracującym, nie poruszyli się nawet na swych stołkach; rozebrałem się więc i oczyściłem z namarzonego lodu w milczeniu, i dopiero, gdy podszedł ku nim bliżej, podniosły się obie nachylone głowy, witając mnie przyjaznym uśmiechem. Pan Józef, ze względu na sztyftów parę, trzymany w zębach, podał mi rękę, mrużąc coś nieokreślenie, i puścił ją natychmiast w ruch automatyczny; Horodelski po przywitaniu się, obejrzał obcas jeszcze nieskończony, i stawiając but na ziemi, wyrzekł z westchnieniem: „I dielo s koncom¹⁾”. Było to ulubione przysłowie jego.

— Co skończone? — zapytałem jednak.

— Wszystko — brzmiała również stereotypowa odpowiedź.

— Tylko nie obcas — mruknął pan Józef, wyjmując ostatni sztyft z zębów.

— A właśnie, może i obcas, jeżeli rozumie się, nie rzucę tej ruiny przekłetej i nie wrócę znowu do dyaczka, — odparł żywo Horodelski.

— A czy tu panu źle, czy co? — przekomarzał się pan Józef. — Warsztat chwala Bogu dobry, naczynia dosyć, a i pokojów, choć kotrydansa wywijaj.

Ale Horodelski nie słuchał i ciągnął dalej:

— Tak, bardzo być może, że rzucę to szewstwo moje, jeżeli tylko póki czas do dyaczka się nie przeniosę. Rzucę, bo szewc ten oto dowiódł mi czarno na białym, że psu na budę nie zdało się to rzemiosło moje, że partaczem jestem i szewcem tylko u dyaczka partacza być mogę.

Pan Józef z chychotał wysoce zadowolony, i już się zabierał do odpowiedzi stosownej, gdy bas poważny: „Cy u djacka, cy nie u djaska, a siewcem nigdy ponie bandzie” — przerwał mu w chwili najwłaściwszej. Bas wychodził z ciemnego kąta tegoż samego pokoju; spojrzałem więc tam uważniej.

1) I sprawa skończona.

Na tapczanie dość niskim siedział ze spuszczoną głową, ustawicznie z lulki pykając, chłop okazały, zwykle Bartłomiejem, rzadziej Bartkiem owczarzem zwany.

— Dlaczegoż nie? — zapytałem, witając się z mówiącym.

— Dlatygo ni, — odparł Bartłomiej, — ze nijakie stworzenie od przeznaczenia swego ucie nie może; ni pies sukom, ni baba chłopem nigdy nie bandzie.

— Przecież to co innego zupełnie?

— Ono widzi się tak tyło, co inego, a w rzeczy jedno, bo choćby ja som na ten przykład: od roboty, już i nie mówićby mi o tem, nie uciekam, a nie idzie mi przecie. A dlacygoj? Dlatygo, ze nie przy swojej robocie stojem. I choć pracuję, nie piję, marniej jak ta owca na słocie, i zmarniej taki bo i terem już bardzi do psa na weselu, niżli do ceka podobny, tyło wesele to nijakie. Ono i odrazu tak mi się pokazało, jakem tyło tu przysed. Bo cy to nie dziw prawdziwy? Ziemia tako wielga, rzyki ni to morza, góry nie Łysicać przecie, łąki, trawy do pasa i kraj taki przez owców! Mądre ci som chłopcy, choćby i owcarze nase, i zadać i zdjąć urok umiejom, i likarstwa na co, na co, choćby i no upór babski tyz majom; a powiedzieć, ze je ziemia wielga przez owców, ze owczarzowi marnieć tu wypadnie — nie uwierzom!

Bartłomiej, jak to łatwo domyśli się każdy, był czasowym mieszkańcem pustkowia. Chłop to był wielkiej zacności, ale fatalność jakaś ciążyła nad nim; pracowity, uczciwy, nigdzie jednak nie mógł znaleźć zajęcia, któreby mogło uwydatnić jego przymioty, zwrócić nań uwagę. Niedawno przybył on tu ściągiony obietnicami jakiegoś dostawcy; obietnice nie ziściły się i Bartłomiej, korzystając z bezpłatnego przytułku, oczekiwał tylko, dopóki nie spadną trochę mrozy, aby wyruszyć w odwrotną drogę. Chłop to był poważny, sensat prawdziwy. Gadaniny częściej nie lubił i głos rzadko zabierał, ale za to jeżeli odezwał się kiedy, to nie inaczej tylko kategorycznie, stanowczo, bez apelacji. Jako przedstawiciel klasy, będącej od dawien dawna kastą prawie i to dość uprzywilejowaną, był on konserwatystą zapalonym, reform żadnych w społeczeństwie nie dopuszczał: „pies — psem, baran — baranem”, było maksimum jego. Autorytet

swych przewodników moralnych podniósł do kultu religijnego prawie i odezwać się przy nim z czemś, coby choć zdaleka autorytetu tego dotykało, nie zawsze było rzeczą bezpieczną.

— Kto mówi? zapytywał Bartłomiej w takich razach groźnie.

I gdy nie był bardzo rozdrażniony, a mógł się hamować, wysuwał swe pięści potężne przed nos mówiącego i wymawiał powoli:

— Kpy mówią!...

W drugim również wielkim pokoju znajdowało się jeszcze dwóch stałych mieszkańców pustkowia: ślusarz Porankiewicz i ex-obywatel, niegdyś jaśnie wielmożny, p. Feliks Babiński.

Jezeli Horodelski był człowiekiem, stojącym na skraju przepaści, to Porankiewicz stoczył się już oddawna na samo dno takowej. Gdym wszedł, dłużył on coś około swego stolika, nazwę warsztatu noszącego. Błady, chudy i drobny, jeszcze drobniejszym wydawał się w skutek pochyłego trzymania się; chodził tak zgięty, że zapewne rzadki starzec przewyższał go w tym względzie.

— A wyprostujże się pan choć raz! — mawiałem mu nieraz.

— Chi, chi, chi! śmiał się dobrodusznie Porankiewicz, — ziemia, ziemia, kochany panie, wyprostuje już mnie chyba. Od dziesiątego roku życia przy warsztacie, od rana do nocy, to i stał się wygnie powoli.

Życie tego człowieka było prawdziwą Odyseją, on tylko biedaczysko Ulisesem nie był nigdy. Złe losy obiegwały go po wszystkich ziemiach syberyjskich, i dogorywać wypadło mu w najgorszej.

Babiński, gdym wszedł, spał; wstał jednak, usłyszawszy naszą rozmowę. Wysoki, barczysty, był on silny fizycznie, a jego twarz ciemna, okolona czarnym jak węgiel zarostem, z wielkimi nastroszonymi brwiami, miała zawsze wyraz surowy. Rozrzewnionym nigdy go nie widziałem, i tylko gdy go coś bardzo za serce chwyciło, mrugał powiekami niezwykle prędko i rękę po wódkę wyciągał. W pracy niezmęczony, mógł i umiał pracować i jeszcze do niedawna jak wół pracował. Od lat dwóch dopiero pić zaczął na zabój. „Abo go co trąciło, abo feler jaki ma w sobie“ — mawiał o nim Bartłomiej.

— Ginie więc teraz, zda się, bezpowrotnie, chociaż przy sprzyjających okolicznościach może jeszcze i wyjdzie z przepaści, w którą, się stacza, bo człowiek to silny niezmiernie.

Są w Rossyi konie pociągowe, bitugami zwane, czarne, złe, rosłe i silne niezmiernie. Idzie sobie bestya taka krokiem równym, miarowym, bez cienia wysiłku, a zapytaj, ile ciężaru na teldeze? — 60 pudów co najmniej, a często i sto ciągnie.

Babiński do bituga był podobny, i chodził tak nawet, jak bitugi chodzą. Gdy pójdzie bywało krokiem wielkim, posuwistym, nigdy mu nie nadażysz. Wszystkie zakupy z miasta: chleb, mięso, wódkę on zawsze nosił, bo nikt tak prędko nie chodził i nikt tak mrozu choć by największego nie znoślił.

Twardy to człowiek okrutnie, a ile ciężaru ciągnie nieraz za sobą, nigdy się nie domyślisz; — „bitug“ prawdziwy! Miał on oprócz tego jakiś spryt szczególny, który go już nieraz z toni prawdziwej ratował; on to zajął pustkowie i był tu gospodarzem de jure, a co jeszcze dziwniejsza, umiał odnaleźć Jakutkę brzydką jak piekło, ale uczciwą, jak tylko dzicy ludzie bywają, która zgodziła się być kucharką w kolonji. Eudoksya tedy była szóstą duszą w pustkowiu.

Nie wszyscy mieszkańcy pustkowia zgodzili się od razu na uroczysty obchód wigilji. Bartłomiej i co dziwniejsza Horodelski, — opierali się najdłużej. „Nie i nie! — upierał się Horodelski, wódki mogę wypić, ile chcecie, zjem co dacie, ale wigilja? Nie! I dopiero gdy niezwykła wymowa, którą rozwinął Porankiewicz, zmiękczyła upór Bartłomeja, ustąpił od razu i Horodelski.

Babiński, jak to zwykle w takich razach bywało, wyruszył bez zwłoki po zapasy, i żywo powrócił z miasta z mąką, masłem, „pępkami“¹⁾ i gąsiorkiem wcale pokaznym. Zakąsiwszy więc potrosze i zakropiwszy co najzjadliwszego robaka, wyszliśmy do pierwszego pokoju, aby nie przeszkadzać przygotowaniom, które Eudoksya pod kierunkiem Porankiewicza prowadzić miała. Dumny on był niezmiernie z okazanego mu zaszczytu, i z odrzuconą w tył głową, jak zawsze gdy usiłował trzy-

1) Pępki od ruskiego „Pupki“ są to brzuszki solone z wielkich i tłustych ryb poławianych w Lenie; jedzą się jak śledzie.

mać się prościej, spowazniał niezmiernie, a był tak wzruszony, że prawie zupełnie stracił dar mowy, wypuszczając zamiast słów jakieś chrząkanie nieokreślone, które, z początku szczególnie, dławilo go zupełnie. Chrząkanie ucichło nareszcie, i tylko łupanie drzazeg, wybijanie ciasta i skwierczenie masła w kuchni dawały nam znać, że owładnięwszy wzruszeniem, Porankiewicz skierował wreszcie sprawę kuchenne na właściwą drogę.

I w pierwszym pokoju gwarniej się teraz zrobiło; Bartłomiej i Horodelski, popuściwszy sobie wodzów, rwali już teraz z kopyta; zaczęły się przypomnienia, wyliczania, po ile to lat niektórzy nie widywali żadnej wigilji, a gdy Bartłomiej, zauważył, że wartoby było „ochędożniej trochę zasiąść do tych świętych godów,” zaczęło się ogólne mycie i przebieranie, jakgdyby na bal jaki wybierali się wszyscy.

Pan Józef tedy wysunął zabójcze kołnierzyki aż do połowy policzków dochodzące wdzięcznym fontaziem z chustki kraciastej szyję swą ozdobivszy. — Bartłomiej wydobyl ze skrzynki jakiś węzelek niewielki i szperając w nim długo, wyciągnął kawałek rzadziuchnej kraśnej wstążeczki, próbując nawiązać ją na szyi, ale bezskutecznie. Zgrubiałe i odwykłe ręce nie słuchały go wcale, i wstążeczka wymykała się mu z palców. Wtedy Bartłomiej, zwabiony widąc wdzięcznym fontaziem szewa, zwrócił się doń z prośbą: „A niech-no pon i mnie ot tyz!” Szewc wziął się do roboty, lecz to wziął się niedbale czy też mruknał coś o błahości ozdoby, bo dopiero gdy Bartłomiej wymówił po cichu: „A dyć to jesej z domu”, szewckie „Aaa!” zabrzmiało innym tonem, i Bartłomiej, przeprowadzony do światła otrzymał fontaż, z którym „choć w zalicanki idź śmiało.” Bartłomiej chodząc z fontaziem, jakgdyby kij połknął, ale za to gdy jeszcze i Babiński przypiał wykrochmalony kołnierzyk, a Horodelski wyciągnął jakąś odwieczną zakietkę nad której plamami biedził się z pół godziny, zewnętrzny wygląd całej naszej kompanii harmonijnie licował z jej uroczystym wewnętrznym nastrojem. Całej powtarzam, bo gdy wkrótce drzwi sąsiedniego pokoju otwarły się naosiecz, zjawił się w nich Porankiewicz, również swia-

tecnie przybrany: w długim wytartym surducie, i choć z mniejszym kołnierzykiem, ale za to z fontaziem wcale nie gorszym od szewckiego.

* * *

Porankiewicz chrząknął raz jeden i drugi, chrząknął wreszcie i trzeci, i przytrzymując jedną ręką drzwi, drugą zaś wyrażając nam wszystkim atencję głęboką, wyrzekł uroczyście:

— Kolacya gotowa, proszę do stołu!

Widok, który nam się po wejściu okazał, był tak niespodziany, że wszedłszy, stanęliśmy jak wryci.

Przy ścianie wewnętrznej pokoju stał stół nie mały, przykryciem białem, jak należy, nakryty, — przykryciem, przez którego dziury wyglądało siano, na stole leżące. Stół był oświetlony dwiema świecami, w lichtarze blaszane dobrze pogięte wetkniętemi; na jednym końcu stołu umieszczona została wielka miska z przyjemnie i wonnie dymiącą kupą ładnie podrumienionych „oład¹⁾”, na drugim końcu znajdowała się miska z „pępkami”, octem i pieprzem przyprawionymi, około miski leżał chleb i stał gąsiorek naczyniem drobniejszym a różnorodnem otoczony.

Na samym zaś środku stołu, na jedynym, niegdys białym a dziś żółtym i poszczerbionym talerzu leżały okruszyny z przyslanego mi opłatka.

Ani przykrycia białego, ani siana, ani opłatka nikt się nie spodziewał; więc też wrażenie wywołane tytułu niespodzianemi akcesoryami było potężne.

Porankiewicz, wysoce zadowolony z efektu, wysunął się teraz naprzód, i zbliżywszy do stołu, wziął ostrożnie talerz z opłatkiem, i prostując się, aż mu w krzyżach zatrzeszczało, chrząknął, usta otworzył, i gdy wszyscy z najżywszą ciekawością oczekiwali całej oracyi, wyrzekł drżącym głosem słów czworo:

— Panowie! Opłatek wprost z Warszawy...

I Złotousty nie przemówiłby silniej.

Już bowiem niecierpliwi zbliżali się do stołu, już ponętny zapach oładi górować zaczynał nad powagą

1) „Oładie” coś w rodzaju naszych racuszków, tylko z praśnego ciasta.

chwili niedawnej, ale gdy słów tych czworo rozległo się w pokoju, cisza zapanowała grobowa, jakoś mimowoli wyciągnęli się wszyscy w szereg jeden, i tylko głów pięcioro zwróciło się ku talerzowi.

Porankiewicz wyprostował się znowu.

— Hm, hm! Panowie! Świętość taka...

— Poświęcony?! — z radosnym podziwem przerwał lekliwie Bartłomiej.

— Spodzielam się! innegoby nie przystali — z głębokiem przeświadczeniem odparł Porankiewicz. — Ale — ciągnął dalej — hm, to jest chciałem powiedzieć, gdy jest świętość taka, więc się podzielimy?

— Podzielimy! ajusci podzielimy! — ust pięcioro wyrzekło jakby jedne usta.

Porankiewicz zrobił nowe usiłowanie, aby stanąć prościej.

— Gdy zaś, to jest, chciałem powiedzieć, nie ubliżając kochanemu panu Babińskiemu — i skłonił się mu uniesienie — wszyscyśmy w tych oto pałacach niby gospodarze, więc spodzielam się, to jest myślę, najlepiej będzie, jeżeli pan jako gość nas wszystkich obejdzie...

I ponsowy cały, spocony jak po pracy największej, oddał mi talerz z ukłonem.

Wziąłem talerz i zbliżyłem się do Babińskiego.

I teraz dopiero, gdy mi samemu mówić wypadło, zrozumiałem, jakiego wysiłku potrzebował mój poprzednik dla swych oracyj króciutkich; ręce moje trzęsły się, usta zamknęły zupełnie. Babiński zbladł, aż zbieleł, i gdy podszedł do niego bliżej, surowa twarz jego zjawiała się przede mną, nieruchoma, jak z marmuru wykuta, i gdyby nie to, że powieki zalały mu zawzięcie myśląbym, że to trup, nie zaś żywy człowiek stoi przede mną. Zbierał długo okruszyny, ale te wypadały mu ustawicznie, i wątpię czy wziął choćby jedną...

Z innymi było toż samo.

Porankiewicz, jako człowiek najmniejszego serca, pierwszy zaszłochał jak dziecko, i choć Bartłomiej, stojący za nim, krzepił go szturchaniem i ujmował prośbami rzewnemi: „Cichoj, bracie, cichoj, bo ryknę, jak baran!“ nic to jednak nie pomagało. Więc też kiedym

podszedł do Bartłomieja, siły już go opadły: nisko schylił swą głowę osiwiata, i wyciągając rękę po opłatek, zaczął głośno, powoli:

W imię Ojca... i Syna... i Świętygo... i Świętygo, — powtórzył ciszej i... ryknął głosem wielkim...

* * *

Łzy nam wszystkim ulgę przyniosły, wszystkim oprócz Babińskiego, który wśród płaczu ogólnego stał jak skamieniały, oczyma tylko mrugając, — i dopiero widąc, gdy mu dopiekło do żywego, ponieważ znajdował się blisko stołu, wyciągnawszy obie ręce pomiędzy naczynie pomniejsze, około gąsiorka będące, zadzwonił szkłem dość głośno. Powieki mu latały i ręce trzęsły się jeszcze, jak w febrze, tak, że sam użyć ich nie mógł, i tylko gdy Porankiewicz już uspokojony, poskoczył do niego bliżej, szepnął mu głosem słabym:

— Nalej, bracie!

Porankiewicz jął nalewać, i rąk, ile było, wyciągnęło się ku stołowi.

Nalać odrazu wszystkim, rozumie się, nie można było, a że każdy pragnienie czuł dość silne, więc wymówki słyszeć się dały, że wcześniej o nalaniu nie pomyślano, wymówki, które jednak odrazu przeciął Bartłomiej, mądrze zauważywszy, że: „nie Duch-ci nikt święty aby mógł wiedzieć, że załość taka sroga zrazu na całuski naród nadyndzie“. — Gdy nareszcie naczynia wszystkie napełniono, bojąc się nowego rozrzewnienia, wychyliliśmy je w milczeniu, z kolei przystąpiwszy do słonych i pieprznych „pępeków“. Pokarm to taki, że bez stosownego odwilżania dużo go nie zjesz, więc gdy Porankiewicz ujął za gąsiorek powtórnie, znowu ręce wszystkie ku niemu się wyciągnęły, i tu dopiero zauważyliśmy, że ręki Babińskiego pomiędzy naszymi nie było.

Babiński stał, jak poprzednio, z naczynkiem opróżnionem, ale milczący nieruchomy, zbieleły. Pierwszy Bartłomiej, jako z chorymi praktyk niemały, dostrzegł niebezpieczeństwa, i żywo skoczywszy ku Babińskiemu, obejrzał go troskliwie:

— Sidem suchych boleściów, widno, ścisło go zrazu! — brzmiała konkluzja ostateczna — a bez słów zadławiomci bolści takowe cteka, jak wilcysko jagniaaka. Je jeden ratunek: jak ci z wierzchu bez ślipie zale srogie nie spłynom, spuścić je trza we środek, i kięć ściękom pomaluśku, dławienie od syrca odstąpi. Trza mu było odrazu wypić do trzech raz; ale to nic jesce: chłop krzepki, to odyndzie potrochu!

I wybrawszy naczynko okazańsze, Bartłomiej zakomenderował:

— Lejże Porankiewicz!

Porankiewicz nalał, Babiński wypił automatycznie; nalał znowu i Babiński wypił znowu; ale widać boleści nie odchodziły, bo Bartłomiej zaczął nowe oględziny.

— A cy od wypadku nie mata gdzie spirytusu trocha?

Babiński skinął głową z potwierdzeniem, i gdy spirytus odnaleziono, Bartłomiej wybrał z pomiędzy naczyń szklanekę zwyczajną, i nalawszy dobrą połowę, podał Babińskiemu.

Lekarstwo podziało cudownie. Babiński pił małymi łykami, a gdy wypił, bledź ustąpiła mu z twarzy, usiadł przy stole i zakąski zażądał; podsunęto mu „pępkę“, i gdy wszyscy naocznie przekonali się, że pępki znikają z należyłą szybkością, kamień ciężki spadł nam z serca. Bartłomiej z popisu swego był teraz nie mniej dumny, niż Porankiewicz z wigilji; więc wzruszeni godność sobie wzajem świadczyć zaczęli, a gdy Babiński, zjadłszy „pępków“ funtów ze dwa, jeść przestał, pierwszą krytyczną chwilę wigilji szczęśliwie przebyto.

W pustkowiu huczało teraz jak w ulu; mówili wszyscy, i choć wszystkim się zdało, że mówią głosem zwykłym, gwarno tu było, jakby nas było ze dwunastu.

Błogość pożądana ogarnęła wszystkich, i zrobiło się każdemu tak rzewnie na duszy, że i śmutki niedawne, i bóle zastarzałe, i rany, które każdy chował przed światem, jak skąpiec nie chowa skrzyni dukatami nabitą, otwały się, aby przyjąć balsam pocieszenia.

I widma cierpień wielorakich sunęły przed nami pas-

mem długiem, nieskończonem, ukazując nam jak w kalejdoskopie wszelaką niedolę człowieczą.

I ulgę pożądaną otrzymawszy, widząc wokół twarzy łzami współczucia zroszone, szedł każdy dobrowolnie z niemocą swoją, i wyznawał grzechy swoje; była więc między nami jakby spowiedź publiczna ze skrucą szczera uczyniona.

Bił się w piersi swą ręką potężną Bartłomiej, obwinając o krewkość zbytę; szlochał Porankiewicz, prosząc żałośnie, aby mu wobec przejść ciężkich, które przewyższyły słabe siły jego, nałóg dzisiejszy wybaczone; obwiniali się i inni.

I dopiero, gdy skrucę i żal okazał każdy, i absołucya zupełna tym, którzy się potykali na drodze ciernistej, wracała utraconą godność ludzką, — żółkłe i pomarszczone twarze rozjaśniła radość szczerą, dziecinna, śmiało podniosły się opuszczone żrenice — byliśmy teraz wszyscy sobie równi. I chwilę drugą, nie mniej krytyczną niż pierwsza, również szczęśliwie przebyto.

Nastala chwila trzecia.

Harmonija, która pomiędzy nami zapanowała, błogie uczucie wzajemności, braterstwa i wspólności, dreszczem rozkosznym przenikać nas zaczęły, zwiastując chwilę pożądaną.

Ow kielich słodczy, który mamił i łudził nas tylokrotnie swym czarownym napojem, ów haszysz zabójczy, do którego jak ptactwo w noc ciemną do ognia, cisną się ludzie z życiem tutejszem nie obyci, od którego jak od widma śmierci uciekają ludzie w życiu tutejszem do świadczeni, ów kielich stał przed nami niczem już nie okryty. Spadły jedna za drugą zasłony, okrywające truciznę ponętą; należało przystąpić i pić, pić do zupełnego sił wyczerpania...

Pierwszy zagrał na cudnych strunach wspomnień rodzinnych Bartłomiej stary, roztaczając nam na złocistej kanwie swych pól sandomierskich obrazy pełne siły, prostoty i wdzięku.

Z rozwianym włosem bielejącym, rozognioną twarzą, wzrokiem natchnionym, jak stary prorok biblijny, ukazał nam najpiękniejsze ziemi rodzinnej niwy, łąki, lasy. Wiódł do siół, pod strzechę wieśniaczą; bolał nad nie-

dolą, pod tą strzechą zagnieżdżoną, prowadził do świątyni Imię Pańskie sławiących..

I stał się cud pożądaný: cel pragnień zatajonych, sniony na jawie nocy bezsennych, ziścił się. Ziemia daleka, powietrze rodzinne, słońce złociste były tu pomiędzy nami w ciemnym pokoju pustkowia... My widzimy tę ziemię, czujemy ją, dotykamy... tu osadziliśmy ją całą! Tu umailśmy ją zielenią, tu skrasiliśmy ją kwieciami, tu ozdobimy ją ozdobą najpiękniejszą—sercami, tylko dla tej ziemi bijącymi, i trzymać tu będziemy oblubienicę swoją... dopóki ją utrzymać zdołamy wszystkich swych sił wyteżeniem...

Czyż to nie praca?..

Praca... ale niech Bóg was od pracy takiej uchwala! Silni ludzie podejmowali ów kamień Syzyfa, i dziś tylko kości bielejące po cmentarzach, garść pijaków, tułających się po „kabakach,” kupka waryatów, dogorywających po szpitalach świadczy, że kamień ów nie do podniesienia, że im wyżej go wtoczysz, nierozumny, z tem większą siłą zdruzgotce on twą głowę szaloną

Szał organał nas wszystkich; i z krwią nalanemi oczyma, rozdętymi nozdrzami, sercami, wyskakującymi z piersi zbolatych, podjęliśmy pracę nieludzką.

I biada teraz śmiałkowi, któryby się ośmielił dotknąć brutalnie złudzenia naszego! Biada nieszczęśliwemu, który nie będzie miał siły i osłabnie przedwcześnie! Przed śmiałkiem, nim się opamięta, błysnie nóż, ujęty ręką, która nigdy noża nie dotykała. Nieszczęśliwiec zginie, jak giną owe zwierzęta słabsze, co padając w stadzie oszalałem, są przezeń bez litości traktowane.

* * *

...Chór z sześciu głosów złożony brzmi echem rozgłosnem w wielkich pokojach pustkowia. Pieśni smutne i radosne idą biegiem naturalnym w tym porządku niemiennym, z którym wszystko spełnia się na świecie. Jeden Bartłomiej, bywalec po ziemi krakowskiej, ze swemi krakowiakami za dwóch starczy. Samo „Albośwa to jacy tacy,” mogłoby nasycić najzapaleńszego zwolennika rozkoszy wokalnych, tyleśmy je razy prześpiewali, ale iluz

to z pomiędzy nas nie słyszało tej piosenki nie pięć, nie dziesięć, ale dwadzieścia lub i więcej lat nawet! Więc chociaż chrypnie już Bartłomiej, po raz piąty, ogólnym zapałem pobudzany zawodzi:

„I kozicek, a stalowy, wyostrzony,
I do pochewki włożony,
I fajeczka, i krzesiwko,
Na to dobre przyodziewko,
Kochajże mnie moja dziewczko,
Do kolusieniecka
Moja kochanecka!

A czy gorsza druga strofka: „I porteczki na snurecku do ściągania” i t. d.? Nie tylko nie gorsza, ale ładniejsza, więc powtarza się raz szósty i siódmy nawet. Zapał nieopisany wywołuje każde słowo tej pieśni, wdzięcznej i poetycznej swą prostotą naiwną. „Eech! co za pieśń! oto pieśń!” wyrrywają się krótkie pochwały, i Bartłomiej choć zawodzi bez przerwy, wodząc wokół tryumfującym wzrokiem, nadąża na każdy wykrzyk taki odpowiedzieć krótko, ale wyraziście:

— Krakoska!..

Babiński łowi każdą nutę nowej piosenki lub pieśni, i wygrywa ją jak pozytywka, powtarzając dyszkantem niezmiernie wysokim, dwie sylaby tylko: „dyna, dyna, dyna, dyna,” i tak bez końca. On jednak śpiewa z największym zapałem, a silny ogromnie i ogniem wewnętrznym palony, straszny on teraz ze swemi pieśniami bez słów, w które wkłada wszystkie swe bóle i żale, nigdy słowami nie wypowiedane.

Wyczerpano i wyśpiewano nareszcie wszystkie pieśni przez nas znane; więcej nic nikt nie pamięta; ale szal, który nas ogarnął, doszedł teraz zenitu, musi więc być pieśń nowa, pieśń której słowa i motywy, dając ujście niepomierne wozbranemu uczuciu, odpowiadałyby ogólnemu nastrojowi.

* * *

W pieśniach największych naszego narodu, smutnych i radosnych, bolejących i weselnych, ale wspaniałych i wielkich głębią i spokojem uczucia, znajdujemy ujście

pożądane — w pieśniach religijnych. Ubodzy to ludzie, którzy w pieśniach tych nic nie słyszą, nic nie czują. Pieśni wielkopostne, wielkanocne i Bożego Narodzenia — to największy spadek artystyczny, jaki nam przeszłość przekazała. Jedyna to sfera naszej twórczości artystycznej, na którą nie oddzielne warstwy, nie oddzielne epoki, ale składał się naród cały, w ciągu wszystkich wieków swego istnienia, wkładając weń całą duszę swoją, wszystkie swe radości i bóle ziemskie.

I mamy też skarbnicę melodyj głębokich jak dusza narodu, której nigdy uczucia miłkie i drobne nie poruszają, wielkich, jak wielkiem jest na ziemi istnienie, wielkimi zmroczonych.

Rzuć w tę głębię, ile chcesz smutków najczarniejszych, radości nieokietnanych, nie zmąciszy jej i z wierchu nawet; na pioruny niebieskie odpowiada ona głuchem swych wód warczeniem, jednym taktom, zmienionem tempem zaznaczając je zaledwie!

Ze skarbnicy tej dotąd nie ocenionej należycie, zacerpną kiedyś wielcy mistrze przyszłości, jak dziś czerpią z niej ludzie prawdziwie bolejący.

* * *

Któż nie zna powszechnej u nas pieśni religijnej: „Gwiazdo morza“? Pieśń ta jednak w niewielu, zdaje się, kościołach jest śpiewana na nutę, na którą tu ją śpiewaliśmy. Zanucona bez słów, dziwnie przypadła nam do serca; śpiewaliśmy ją tedy do końca. I słowa i melodia odpowiadały uczuciom naszym. Proste słowa pieśni były jakby dla nas napisane; swojski motyw nuty uroczystej i wzniosłej, kołł piersi tak srodze przez nas samych poranione. Bartłomiej pierwszy upadł na kolana, za nim poszli inni, i popłynęła z ust naszych modlitwa szczerą i gorącą, a gdy doszliśmy do słów: „Odwróć od nas głód, mór ciężki, zachowaj krwawej wojny“, modliliśmy się z takim przejęciem, że słysząc, nie słyszeliśmy, i widząc, nie widzieliśmy, jak się podniósł Bartłomiej płaczący:

— Oj, nie usłyszysz Ociec litościwy — takiej modlitwy wielkiej z tej jaskini zapowietrzanej! Do Pana przestwo-

rzów niebieskich na przestworzu pomodlić się trzeba! zawołał i jak stał, wyszedł z pokoju.

Ale siły nasze już prawie wyczerpane, już nawet Babiński przestaje czasami śpiewać, i tylko usta otwarte i ręka takt wybijająca wskazują, że w duszy swej śpiewa on jeszcze, gdy za drzwiami rozlega się głos potężny, elektryzujący nas znowu:

„Bóg się rodzi, moc truchleje!“

To Bartłomiej przyprowadzony przez Eudoksyę „z przestworzów“, wśród których zmarłby niechybnie, kolenduje swym basem potężnym.

Nowe źródło, jeszcze dziś nietknięte, wytryska przed nami! A myśmy o niem zapomnieli?! Więc choć usta zaledwie poruszać się mogą, pijemy chciwie z nowej krynicy, i chór zgodny z nową siłą zawodzi pieśń nową. Radosna pieśń Narodzenia Pańskiego unosi nas znowu daleko, daleko za jakucą ziemię, nowym ogniem, ogniem wiary, ufności i nadziei serca nasze rozpalając.

I modliliśmy się długo i gorąco; nawet Eudoksya, modlitwą naszą pociągnięta, weszła ku nam, ze świętym obrazkiem, biła przed nim pokłony i powtarzała błagalnie: „Tangara! Aj, Tangara! Aj, Tangara, uruj“*).

Petersburg, w grudniu r. 1887.

*) Boże, wielki Boże, zmiłuj się!



230256



Spis rzeczy.

	Str.
Maciej Mazur	3
Srul z Lubartowa	36
Stolarz Kowalski	46
Dwie Modlitwy	66

„Maciej Mazur“ i „Srul z Lubartowa“ przedrukowane są z tomu I „Szkiców“ (wydanie drugie, Piotrogród 1890), „Dwie Modlitwy“ z tomu II „Szkiców“ (wydanie drugie, Piotrogród 1890), „Stolarz Kowalski“ z „Biblioteczki Uniwersytetów Ludowych“ Gebethnera i Wolffa. Wszystkie przypiski są uczynione przez Autora.

Tegoż autora:

- Szkice tom I.** Wydanie trzecie. Piotrogród 1890 r., 160 str., cena 1 rb. Do nabycia w Warszawie, w księgarni Gebethnera i Wolffa.
- Szkice tom II.** Wydanie drugie. Piotrogród 1890 r., str. 187, cena 1 rb. 40 kop. Wyczerpane.
- Jak siał, aby i praca ludzka, i ziarno nie szły na marne.** Ważne wiadomości o siewie dla użytku i największych, i najmniejszych gospodarstw. Z wieloma rysunkami. Poznań 1894 r., 62 str., cena 50 hal. lub 20 kop. W Warszawie, księgar. Gebethnera i Wolffa, w Krakowie księgarnia Wojnara ul. Szewska.
- Najlepszy Elementarz Świata.** Znakomity elementarz polski Konrada Prószyńskiego (Promyka). Kraków, 1904, duża 8^o, 35 str. Cena 1 kor. (50 kop.), w Warszawie, księgarnia Krajowa, Nowy Świat, róg Świętokrzyskiej, w Krakowie w księgar. Gebethnera i Spółki. (Odbitka z I tomu „Reformy Szkolnej“).
- Z Jakuckiego Olimpu.** Jurdiuk Ustûk Us. Baśń. Kraków 1910, 149 str. Cena 2 korony lub 80 kop. w Warszawie, księgarnia Gebethnera i Wolffa, w Krakowie — Gebethnera i Spółki.
- Aksinja.** Opowiadanie z życia moskiewskiej Lechii. Kraków 1911, 126 str. Cena 2 kor. lub 80 kop. W Warszawie u Gebethnera i Wolffa.
- Lew Tolstoj.** Istota jego działalności. Kraków, 1911, str. 11. Cena 40 hal. lub 20 kop. W Warszawie u Gebethnera i Wolffa.
- Zmiana pojęć o znaczeniu nauki rysunków w szkole elementarnej.** Kraków, 1913 r., str. 78. Cena 2 kor. (Odbitka z II tomu „Reformy Szkolnej“).